Rok 1900. Lwów, 19. sierpnia. Nr. 45.

TYGODNIK NARODOWY.

Redaktor: Klemens Kołakowski. * * * * * * * * Redakcya i Administracya we Lwowie, przy ul. Klonowicza l. 3.

Treść Nr. 45:

Polityka rozpaczy.

Nie da się zaprzeczyć, że położenie polityczne wszystkich trzech dzielnic naszej ojczyzny jest dzisiaj o wiele gorszem, aniżeli przed lat dziesiątkiem.

W wynajdywaniu sposobów ucisku i wynarodowienia idą o lepsze rządy: rosyjski i pruski, a na wieść o bezprawiach i gwałtach brutalnych, jakich, w obliczu całego świata cywilizowanego, dopuszczają się na żywiole naszym zarówno despotyczne władze w Królestwie, jak i konstytucyjne w Wielkopolsce, — krew ścina się w żyłach...

W Galicyi, niestety, nie tyle z winy rządu centralnego, co z naszej własnej winy — dzieje się nie o wiele lepiej. W tamtych dzielnicach wydzierają nam prawa narodowe, — w tej ostatniej my znowu z praw przysługujących sami nie korzystamy i nie wyzyskujemy ich należycie dla podniesienia poczucia narodowego i myśli ogólnopolskiej. Tam dla przyszłości działać wzbraniają ustawami wyjątkowemi, bagnetami i więzieniem; tutaj myśl o przyszłości narodu, jako takiego, coraz więcej tonie w kwestyach polityki nienaszej, zaciera się, abdykując dobrowolnie z horyzontów szerszych i zanikając w apatyi i upadku duchowym.

Pod zaborami pruskim i rosyjskim w walce odpornej ujawnia się jeszcze życie narodowe; w Galicyi, gdzie możemy pracować samoistnie i do pewnego stopnia swobodnie, pracy narodowej tak mało, że zdumieć się można. Prąd „gaszenia zbyt gorączkowych mrzonek“ z biegiem lat opanował tak wiele umysłów, a idące w ślad za nim karyerowiczowstwo zdeprawowało tyle, nie już jednostek, ale całych sfer społecznych, że dziwić się trudno, jeżeli z głębi narodu, jak z krwawiącej piersi, wyrywa się głos dzikiej rozpaczy, głos, nie liczący się z czasem, i ze stosunkami, i z rozsądkiem politycznym, a zwiastujący jedynie ból i ślepą wściekłość.

Za taki objaw psychiczny chwili obecnej uważamy agitacyę, jaką próbuje rozwinąć w społeczeństwie polskiem nieznany nam bliżej, bo tajemnicą osłonięty „Związek radykałów polskich“, który od czasu do czasu stwierdza swe istnienie ulotnemi pisemkami. Przed dwoma laty czytaliśmy „odezwę“ tego tajemniczego Związku, w której wyrażono potrzebę czynnej walki z wrogami; dzisiaj znowu nadesłano nam pierwszy numer czasopisma p. t. „Niepodległość“, gdzie ta sama zasada rozwija się dalej.

Anonimowa redakcya twierdzi, że na całym obszarze ziem polskich upadł duch patryotyczny i o przyszłości Polski nikt dziś na seryo nie myśli, zbywając tę ideę czczemi deklamacyami, które mijają bez echa i nudzą. Tymczasem w Królestwie i Poznańskiem ulegamy ciągłemu uciskowi, a w Galicyi cała armia karyerowiczów tępi wszystko, co patryotyczne. Demokraci nie mają odwagi cywilnej do zwalczania złego, a socyaliści — chociaż czynią jeszcze najwięcej — na czynną walkę nie mogą się zdobyć. — Wobec tego tajny Związek radykałów postanowił nie czekać „uświadomienia“ mas, ale rozwinąć politykę czynu. Na czem ma ona polegać? „Nie czcze demonstracye i manifestacye — powiada redakcya, — bo te są zbyt kosztownym środkiem w stosunku do osiągniętych rezultatów i szybko bardzo powszednieją, — ale walka czynna, skierowana przeciw urzędnikom i dygnitarzom różnych stopni, jako broń ukryta, a przez to nieuchwytna, najlepiej się nadaje dla naszych stosunków na dziś“. Redakcya nawet wskazuje osoby, na których należy wywrzeć terroryzm za świadome gnębienie ducha narodowego...

Mamy więc przed sobą rodzaj anarchizmu w imię idei niepodległości!

Jedno z pism krakowskich przypuszcza, że tajną „Niepodległość“ wydają ajenci prowokacyjni rosyjscy, aby wywołać ferment i dać sposobność nowego obłowienia się urzędnikom rosyjskim w Królestwie, a pruskiemu rządowi nowy pretekst do prześladowań.

Nam tak się nie zdaje i wierzymy raczej, że cała ta obłąkana robota zrodziła się w głowach bardzo młodych a w sercach wrażliwych, niezahartowanych do męskiego znoszenia ciosów. Nie obawiamy się też bynajmniej, iżby w społeczeństwie dojrzałem politycznie, fantazya terroryzmu, tak bardzo nie na czasie będąca, mogła kogokolwiek porwać za sobą. Przebrzmi ona bez echa.

Ale...

Ale ten głos szalonej rozpaczy jest zarówno znamieniem chwili, jak i przestrogą — specyalnie dla Polaków galicyjskich. Nie zrodził się on bez powodu i stosownie do praw psychologii, musi mieć gdzieś biegun przeciwny, z którym łączy się równym wobec narodu grzechem.

A przeciwny biegun radykalnych haseł terroryzmu, to ów trójlojalizm, i zanik poczucia narodowej godności, i kapitulacya ugodowa, i on kierunek, jaki w zapędach utylitaryzmu nadajemy wychowaniu młodego naszego pokolenia. Duch narodu niełatwo zatruć: im większy terroryzm zgóry, tem więcej takich głosów rozpaczy wzbije się ku górze z głębi mas gnębionych, a wynaradawianych przez obcych i — swoich.

Zbrodnią jest dzisiaj wzywać do terroryzmu; ale pamiętajmy, że zbrodnię — zbrodnia zrodziła, a terroryzm „Niepodległości“ jest jeno rodzonym bratem owego, co idzie ze strony przeciwnej: pierwszy szalony rozpaczą i słabością serca, — drugi spodlony narodowem odstępstwem.

Watykan a Kwirynał.

Zachowanie się Stolicy Apostolskiej wobec śmierci króla Humberta wywołało w najszerszych kołach zdziwienie i rozmaite, w części bardzo fantastyczne, kombinacye. Zwrócono uwagę na objawy serdecznego współczucia, z jakiemi Papież przyjął wiadomość o zamordowaniu króla, na wizytę kondolencyjną, którą z jego polecenia złożył królewej wdowie arcybiskup Medyolanu, rozporządzenie kardynała wikaryusza Rzymu, aby duchowieństwo nie usuwało się od udziału w manifestacyach żałobnych, pozwolenie na odmawianie we wszystkich kościołach modlitwy, ułożonej przez królową Małgorzatę udział kardynałów w pogrzebie monarchy i t. d. i nadano wszystkim tym szczegółom znaczenie polityczne.

Nie spodziewano się tak dalece tego rodzaju objawów współczucia, że jedno z wybitnych pism katolickich, otrzymawszy telegram, dotyczący udziału duchowieństwa w manifestacyach, zaopatrzyło go w uwagę, że jest niezrozumiały i potrzebuje potwierdzenia. W szerokich kołach zapanowało mniemanie, że Stolica Apostolska zamierza obecnie zająć stanowisko przychylniejsze względem Kwirynału i jedności włoskiej, a korespondent rzymski *Journal des Débats* wyraża przekonanie, że gdyby za czasów zajęcia Rzymu Papieżem był nie Pius IX., lecz Leon XIII., to stosunek Stolicy Apostolskiej do państwa włoskiego od samego początku byłby przyjaźniejszy.

Jest to nieporozumienie. Przeceniono najniesłuszniej objawy współczucia, które Stolica Apostolska okazuje królowi Humbertowi i jego rodzinie, na państwo włoskie i nadano sprawie osobistej znaczenie polityczne. Król włoski jest nietylko głową państwa, które pozbawiło Papieży władzy świeckiej i dlatego toczy z nimi walkę nieustanną, lecz także osobą. Sympatye Stolicy Apostolskiej tyczą się tylko osoby króla, człowieka, który ze wszech miar zasługiwał na miłość i uwielbienie, a nie jego stanowiska politycznego.

Nie jest to pusty frazes tylko, gdy obecnie, po zamordowaniu króla Humberta, twierdzą, że był najszlachetniejszym z ludzi, gdy sławią jego dobroć, wspaniałomyślność i dobroczynność. Zwłaszcza dobroczynność, pragnienie złagodzenia nędzy, gdziekolwiek się objawiała, były wybitnym rysem charakteru króla Humberta. Każdego poranku przynoszono mu ważniejsze dzienniki rzymskie, prowincyonalne i zagraniczne. Wiadomości, które mogły zainteresować szczególnie monarchę, pozakreślał poprzednio sekretarz prywatny. Król siadał zwykle na tarasie od strony ogrodu Kwirynału, przeglądał dzienniki i dopisywał swoje uwagi. Najczęściej dopiski te brzmiały: „Posłać natychmiast jałmużnę!" przyczem naznaczona była suma, wynosząca niekiedy kilka tysięcy lirów. Te jałmużny, na które król Humbert wydawał z własnej szkatuły rocznie kilka milionów lirów, były podstawą niejednego cichego szczęścia.

Jako władca państwa, które skutkiem swego historycznego rozwoju, jest w niezgodzie z Kościołem, król Humbert jednak nie był bynajmniej wrogiem Kościoła i katolicyzmu. Przeciwnie, był katolikiem bardzo gorliwym i w dziedzinie czysto religijnej, żywił wielką cześć dla osoby Ojca św., co również Leon XIII. w zakresie czysto ludzkim nie pozostawiał bez odpowiedzi wobec całej rodziny królewskiej.

Ceniąc te uczucia, jakie ożywiały zamordowanego króla, oraz głęboką boleść i żałobę królowej, znanej z pobożności i praktycznej miłości bliźniego, Papież nie szczędzi objawów serdecznego współczucia i sympatyi. Nie dotyczą one jednakże wcale monarchy antykościelnego państwa włoskiego i nie mają nic wspólnego z polityką. Znamy nawet z katolickich pism włoskich szczegół, który dowodzi, jak w Watykanie zważano na to, ażeby pod wpływem żalu nie uczynić żadnego kroku, któryby mógł w przyszłości mieć, jako precedens, następstwa polityczne. Na wiadomość o zamordowaniu króla Humberta, Ojciec święty chciał wysłać natychmiast telegram kondolencyjny do królowej Małgorzaty. Sekretarz stanu, kardynał Rampolla, zwrócił jednak uwagę na znaczenie dyplomatycze takiego wystąpienia i skutkiem jego przedstawień, postanowiono polecić arcybiskupowi medyolańskiemu, aby ustnie wyraził królowej współczucie w imieniu Ojca św. Nie ulega też najmniejszej wątpliwości, że po formalnem objęciu rządów przez młodego króla, Ojciec św. w sposób niedwuznaczny, chociaż, jak zwykle, łagodny, powtórzy swój protest przeciw zajęciu Państwa Kościelnego i przeciwstawi „Rzymowi nietykalnemu", o którym wspomniał w swoim manifeście do narodu Wiktor Emanuel III-ci, „Miasto święte" Papieżów. Powtórzenie tego protestu stało się nieuniknionem, zwłaszcza skutkiem dziwnych kombinacyj, jakie wywołoła przychylność, okazana rodzinie królewskiej z powodu śmierci króla Humberta.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Sprawy austryackie.

Półurzędownie zapewniają, że parlament austryacki będzie zwołanym na koniec września, lub na początek października i bez względu na przebieg sesyi, z końcem listopada zbiorą się Sejmy krajowe.

Zwołanie parlamentu ma być ostatnią próbą. Jeżeli jednak Czesi nie zaniechają obstrukcyi, co rząd uczyni? Otóż to pytanie zajmuje obecnie prasę wszystkich odcieni. Jedni pocieszają się, że drowi Koerberowi powiedzie się utworzyć większość dla załatwienia spraw bieżących, większość jednak w to nie wierzy i przypuszcza raczej, iż rząd rozwiąże parlament i odwoła się do wyborców. Rzecz znamienna, że za nowemi wyborami oświadczają się zgodnie zarówno „N. fr. Presse", jak i czeskie „Narodni Listy". W Galicyi jest za rozwiązaniem prasa postępowa, natomiast konserwatyści gwałtownie przeciw tej ewentualności występują, obawiając się — zresztą nieuniknionych — strat dla swego stronnictwa.

Jubileusz katolicyzmu na Węgrzech.

Z wielką uroczystością obchodzą Węgrzy 900-letnią rocznicę wprowadzenia do kraju religii katolickiej. Obchód urzędowy odbył się w Ostrzyhomiu, a oprócz dostojników kościelnych i rządowych, uczestniczył w nim także arcyksiążę Fryderyk. Niezliczone rzesze pielgrzymów przybyły na tę uroczystość.

Car w Paryżu.

„Echo de Paris" i „Siecle" donoszą zgodnie, że z początkiem września car rosyjski sam, bez małżonki, przybędzie do Paryża.

Szczegóły spisku anarchistów.

Proces mordercy króla Humberta rozpocznie się niebawem i — zdaje się — odsłoni całą sieć sprzysiężenia anarchistów. Policya rzymska posiada podobno dokładne wiadomości o całym spisku i jego członkach. Głównymi spiskowcami byli: Bresci, Lanner, Quintavalle i jeszcze czwarty, którego nazwisko nie jest znanem. Ten ostatni był szefem organizacyi, a mówił po angielsku.

Spisek uknuto w Paterson, w Ameryce i tam Bresci kupił wyborny rewolwer za 18 dolarów. Wszyscy czterej 10 czerwca wypłynęli z N. Jorku do Europy. Odprowadzało ich około 100 towarzyszów, a w Hawrze już na nich oczekiwali anarchiści włoscy we Francyi. Tutaj — jak zeznaje kochanka Bresciego, Emma Quazza — wręczono Bresciemu 8000 franków w złocie i pewną sumę w banknotach włoskich. Bresci z kochanką bawił kolejno w Paryżu, Lyonie i Marsylii, wszędzie przyjmowany owacyjnie przez towarzyszy. W Lyonie popisywał się celnością strzałów; strzelał mianowicie do pierścionka, zawieszonego na nitce: kula przeszła przez otwór, nie dotknąwszy obrączki. Żyjąc rozrzutnie i hulaszczo, objechał Bresci wiele miast włoskich, a wszędzie obcował z najobskurniejszemi osobnikami i pospólstwem, chociaż mieszkał w pierwszorzędnych hotelach. W każdem mieście miał inną kochankę, a te opowiadają niebywałe rzeczy o jego ekscentryczności i zmysłowości. W Bolonii otrzymał telegram z Bielli tej treści: „Wszystko gotowe, przybywaj zaraz! Leandro Nicoli." Ale Bresci pojechał do Turynu, gdzie, zdaje się, odbył naradę z trzema swymi towarzyszami. Stąd udał się do Monzy, gdzie dokonał zamachu. Quintavalle i Lanner zostali schwytani, a Leandro Nicoli umknął zawczasu, zapewne do Szwajcaryi.

Wypadki w Chinach.

Wojska sprzymierzone po zwycięskiej bitwie pod Peitsang. miały już drogę do Pekinu prawie otwartą. Na Chińczyków padł strach ogólny i niemal żadnego nie stawili nigdzie oporu. Onegdaj armia sprzymierzona dotarła do Matou, skąd doniosła, że wojska cierpią wiele wskutek upałów. Wczoraj znowu nadeszły prywatne depesze do Londynu, że wojska europejskie wkroczyły już do Pekinu. Zarazem donoszą — znowu prywatnie — że w Pekinie panuje w tej chwili zupełna anarchia. Ciało urzędnicze chińskie rozpędzone; pieczęcie zabrała Rada koronna; Cesarzowa wdowa, książę Tuan i cały dwór cesarski umknęli w niewiadomym kierunku. Co dzieje się z cesarzem — niewiadomo. Lihungczang, wskutek trudności położenia, zrzekł się misyi prowadzenia układów pokojowych z mocarstwami. O posłach mamy wiadomości sprzeczne. Lihungczang donosi, że znajdują się już w obozie wojsk sprzymierzonych i są bezpieczni, inne atoli depesze zgoła o posłach nie wspominają.

Wogóle wszystkie wiadomości trzeba przyjmować z zastrzeżeniem, dopóki nie będą potwierdzone urzędownie.

Jenerał Waldersee, uznany już przez wszystkie rządy, jako komendant wojsk sprzymierzonych, wyrusza do Chin 20 bm.

Wojna w Afryce.

Angielskie ministeryum wojny nie ogłasza już od kilku miesięcy szczegółowych sprawozdań-z biegu wojny z Burami a korespondenci prywatni milczą również od czasu objęcia dowództwa naczelnego przez lorda Roberts'a. Rząd twierdzi, że wojna skończyła się już właściwie i chodzi tylko jeszcze o rozbrojenie reszty Burów i przywrócenie spokoju w krajach zdobytych. Rzeczywisty stan rzeczy w Afryce jest nieznany. Od marszałka Roberts'a nadchodzą wprawdzie jeszcze codziennie lakoniczne telegramy o małych potyczkach i ruchach wojsk angielskich, ale nie wyjaśniają one położenia. Trzebaby poświęcać dziennie kilka godzin na ich porównywanie, aby zoryentować się w stosunkach i wytworzyć sobie jaki taki obraz stanu rzeczy.

Istnieją jednak jeszcze dokumenty urzędowe, które mówią więcej, niżby chciał zdradzić rząd angielski, a dowodzą, że w ostatnich kilku tygodniach położenie Anglików w Afryce pogorszyło się bardzo, i optymistyczne twierdzenia p. Chamberlaine'a bynajmniej nie są uzasadnione. Są to urzędowe listy strat, które ministeryum wojny ogłasza na końcu każdego tygodnia.

Według tych wykazów urzędowych, straty Anglików wynosiły: dnia 4-go lipca 29,706 ludzi, dnia 11-go lipca 30,693 ludzi, dnia 18-go lipca 32,520 ludzi, dnia 25 go lipca 34,750 ludzi, a wreszcie 4-go sierpnia 37,770 ludzi. W pierwszym więc z wymienionych 4 ch tygodni Anglicy utracili w zabitych i ranionych 1,000 ludzi, w dwóch następnych po 2,000, w ostatnim 3,000 ludzi. Są to najwyższe liczby strat, jakie miała Anglia dotąd od samego początku wojny — więcej niż 2 000 ofiar na tydzień. Aby ocenić znaczenie tych liczb, trzeba zważyć, że nawet najnieszczęśliwsza dla Anglików bitwa pod Spion-Kopem pochłonęła tylko 1,200 ofiar, a więc 800 mniej, niż Anglia traci obecnie każdego tygodnia.

O iluż bitwach przemilczanych przez ministeryum wojny, a nieszczęśliwych, świadczą te olbrzymie stosunkowo cyfry strat! Sprawa ta nie wyjaśni się pewno nigdy. Ogólnikowo można tylko stwierdzić na podstawie telegramów Roberts'a, że na całej przestrzeni republik południowo-afrykańskich wojna toczy się jeszcze i przebieg jej jest dla Anglii niepomyślny.

Z Poznania.

15. sierpnia.

(Skutki rozporządzenia p. Studta. — Zlot Sokołów).

Dziatwa polska głęboko odczuła krzywdę, wyrządzoną ojczystemu językowi ostatnim reskryptem ministryalnym. Jak donoszą pisma poznańskie, dzieci żadnym sposobem nie chcą iść na wykład nauki religii w języku niemieckim.

— Z jakich powodów nie chcesz iść na lekcyę? — pytają ojcowie.

— Nie rozumiem nic z tego, co mi tam nauczyciel prawi. Uczyłem się religii po polsku i rozumiałem, o co chodzi, a teraz nic nie wiem, odpowiada chłopiec. — Takie zajścia są bardzo częste. Dziś, kiedy już rzecz jest publiczną, nie możemy tego taić, że oburzenie rodziców i całego społeczeństwa udziela się dzieciom bez agitacyi ze strony prasy, albo kogokolwiek. Dzieciom bowiem, które w domu patrzą na łzy i narzekania matek i słyszą słowa oburzenia ze strony ojców, i to takie słowa, że nie możemy ich powtarzać ze względów prasowych, trudno powstrzymać się, pomimo grozy dyscypliny, od uczuć oburzenia i rozgoryczenia, jakie napełniają serca rodziców własnych.

Za wszelkie skutki tej nieszczęsnej polityki, podkopującej podstawy religijne w ludzie i tamującej spokojny rozwój naszego społeczeństwa, za to popychanie ludu w najskrajniejsze kierunki pod każdym względem, robimy odpowiedzialnymi inspiratorów tej nieszczęsnej polityki — Bóg ich osądzi!

Na domiar złego zastosowano także na prywatnych pensych żeńskich tę samę metodę, praktykowaną w szkołach elementarnych. Jakiem się to stało prawem, nie wiadomo, skoro reskrypt ministeryalny tak, jak go podawały gazety niemieckie, opiewa, że rozporządzenie najnowsze odnosi się do wyższych szkół żeńskich.

Z uznaniem należy podnieść krok ks. arcybiskupa Stablewskiego. Wystował on do ministra Studta zapytanie, z jakich powodów usunięto polską naukę religii w szkołach i zastąpiono ją niemiecką bez poprzedniego zapytania się władzy duchownej. Minister jeszcze nie dał odpowiedzi, ale pisma pruskie uprzedzają, że p. Studt zarzuci polskim kapłanom, a nawet arcybiskupowi — polonizowanie (!) pod płaszczykiem Kościoła.

Drugi ogólny Zlot wszechsokolski, jaki się odbył w niedzielę ubiegłą, udowodnił, że mimo coraz trudniejszych warunków, coraz szersze masy młodzieży uczuwają potrzebę ćwiczenia ciała po trudach całodziennych. Hasło: w zdrowem ciele zdrowy duch, nie przebrzmiewa już frazesem, bo Zlot każdy coraz liczniejszą wystawia drużynę, pełną otuchy, zapominającą w szeregach o ranach, krwawiących serca, mających jedynie i wyłącznie na celu hart ciała. I celu tego drużyny sokole z oka nie spuszczą, mimo tendencyjnie podsuwanych im intencyi innych.

Już w sobotę w południe, wieczorem, a nawet nocą zjeżdżały drużyny wielkopolskie do stolicy, spiesząc powitać się wzajem, a i z poza Wielkopolski liczne zastępy przybywały, okazując, że nie gnuśnieje ani ciało, ani duch; to też wesoło w Eldorado uścisnęli sobie dłonie — co czują i wejrzeli sobie w oczy — które mówią, rozchodząc się późno na spoczynek do kwater, które miejscowi Sokoli naprzód przygotowali.

W niedzielę nikt nie zaspał, bo prawie dodnia odbyły się ćwiczenia próbne, poczem, choć w pojedynkę, o godz. 9 zapełnili wspaniały Jagielloński przybytek Boży, gdzie odprawiła się msza św. na intencyą Zlotu. Potem udano się znowu do Eldorado, gdzie odbyło się śniadanie i powitanie przybyłych drużyn. Uroczystość tę otworzył prezes miejscowego Gniazda druh Preis, a głównym punktem tej uroczystości, było przemówienie prezesa związkowego, druha mecenasa Chrzanowskiego, który wszystkich tak wzruszył, że jednego, rzec można, suchego nie było oka, a łzy te, zawieszone na rzęsach i młodych i starych, wymowniejsze były od słów samych: wzruszenie głębsze udzieliło się wszystkim, gdy prezes berlińskiego Gniazda prosił druha prezesa związkowego, by drużyn nie opuszczał, lecz wytrwał na stanowisku jak najdłużej — do końca.

Główna część programu tj. ćwiczeń nadchodziła. Pomimo wciąż padającego deszczu, gromady publiczności dążyły na plac ćwiczeń, a gdy około godz. 5 zupełnie się wypogodziło, ogromny plac odrazu prawie zapełnił się publicznością.

Popisy swe odbyli Sokoli — w liczbie około 400 — przy sprzyjającej pogodzie. Na boisko pospieszyły drużyny skromnie, bez sztandarów, bez muzyki, nawet nie w mundurach sokolich; wszystkiego tego bowiem policya zakazała. — Dziwna rzecz. W tym samym czasie odbywał jakiś cech gromadnie przy dźwięku muzyki pochód przez ulicę Wrocławską na jakąś zabawę.

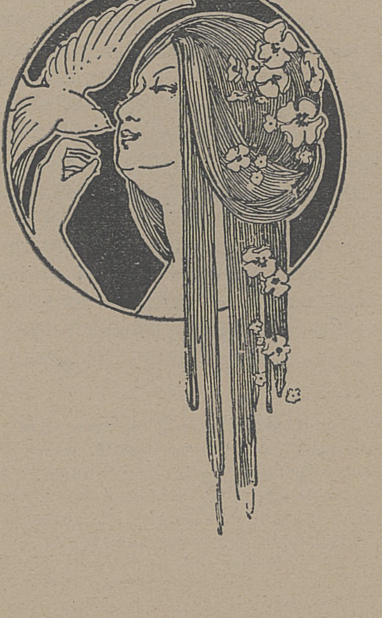
Przed może dwoma tygodniami odbywał cech rzeźnicki pochód w ubraniach — gdyby kto chciał tego upatrywać — wprost zakazanych, bo bez wierzchniego ubrania z toporami w ręku. — Nie więcej, jak trzy lub cztery tygodnie temu cykliści niemieccy, zdaje się z całej prowincyi, urządzili korowód prowadzący z placu Wilhelmowskiego ulicą Wrocławską, Starym Rynkiem itd., trwający przynajmniej kwadrans i na ten czas przerywający komunikacyę na ulicy Wrocławskiej, — wszystko to wolno jest Niemcom. — Jeżeli jeszcze dodamy, że przy niedawno odbytym w Bydgoszczy Zjeździe śpiewaków niemieckich zaznaczono wyraźnie, że przybyły drużyny śpiewaków niemieckich z Łodzi, z Warszawy — a dziś tu, w Poznaniu, policya zagroziła, że każdego Sokoła zagranicznego natychmiast odstawi do granicy państwa niemieckiego — to wobec tego wszystkiego zapytać się musimy, czy nas rząd pruski nie patentuje wyraźnie na obywateli drugiej klasy?

Po skończonych ćwiczeniah wdzięczna drużyna, podniósłszy swojego kochanego naczelnika w górę, z pieśnią „Silni ciałem, silni duchem" obniosła go w koło, co wielki wywołało zapał, a na co naczelnik w zupełności sobie zasłużył, gdyż ćwiczenia, choć przy tak imponującej liczbie druhów, wypadły zupełnie poprawnie.

W przytykającym do placu ćwiczeń ogrodzie p. Majchrzyckiego odbywał się tymczasem koncert przy szczelnie zapełnionym ogrodzie.

O godz. 10 wyruszono gromadkami do ogrodu zoologicznego, gdzie było pożegnanie drużyn przybyłych, po którem nastąpiły tańce, lecz i amatorzy musieli z tańca skwitować, tak pełną była sala. Mimo tej ciżby, bawiono się do rana.

Zlot nosił nazwę: „imienia Antoniego Durskiego", a to dla uczczenia jubileuszu dzielnego naczelnika Sokołów polskich w Austryi.



B. W.

Jeszcze w sprawie reformy szkół średnich*)

Sprawa reformy szkół średnich zajmuje od dłuższego czasu wszystkie ruchliwsze umysły. Oceniano jednak błędy systemu i wskazywano na luki bardzo poważne z punktu widzenia, nie mającego właściwie ze szkołą nic wspólnego. Zaraz się o tem przekonamy.

Celem, w który mierzono, były, jak wiadomo, przedewszystkiem języki klasyczne; dopiero podczas polemiki o zachowanie, lub odrzucenie tychże, wyłoniły się kwestye znaczenia o wiele większego. Otóż, ile razy występował ktoś z obroną klasycyzmu, na dnie leżała ukryta, lub jawna obawa, że ze zniesieniem tych języków zanikną u młodzieży ideały cnoty, męstwa, ofiarności dla państwa i ojczyzny i t. d., głoszone przez literatury starożytne (nawiasowo dodać można: głoszone przez szkolne podręczniki, a nie całą literaturę starożytną). Kto zaś, mieniąc się przeciwnikiem klasycznego wychowania, przechylał się na stronę wykształcenia realistycznego, ten zapowiadał, że chcąc szkołę zbliżyć do życia — wyrażając się popravnie — chce obładować umysł mnóstwem szczegółów praktycznych.

Pierwszy więc, jak widzimy, chce szczepić idee moralne, trąbi wiecznie o Pięknie, Dobru, Prawdzie, — co budzi w szkole uśmiech niedowierzania i lekceważenia — drugi chce kształcić praktycznie, t. z. zniża szkołę średnią do rzędu przemysłowej w lepszym stylu. Jeden i drugi — zaznaczam to dobitnie — nie mają wobec tego ze szkołą nic a przynajmniej bardzo mało wspólnego.

Nic prostszego, że się teraz nasuwa pytanie, jakie zadanie ma szkoła spełniać. Najwszechstronniej rozwijać zdolności poznawcze — oto wszystko, co ona może, a więc do czego dążyć powinna. Rozpatrując wszystkie przedmioty pod kątem ich znaczenia dla rozwoju umysłu, przekonywamy się, że w zasadzie system jest dobry, t. z. przedmioty, wykładane w szkole, wpływają dodatnio na żądany rozwój zdolności urodzonych; w szczegółach jest jednak bezwarunkowo potrzebna zmiana, mianowicie w językach klasycznych i naukach przyrodniczych.

Te pierwsze były niejednokrotnie przedmiotem dyskusyi. Nigdzie jednak nie oceniano ich na podstawie warunków krajowych. Zapomniano o tem, że mogą sobie pozwolić na ten zbytek narody, przodujące europejskiej cywilizacyi, że zaś my, którzy przychodzimy na świat, z polskim, lub ruskim językiem, w którym nie znajdujemy filozofi, nauki i literatury pięknej, stojący na stopniu europejskim, że my nie możemy pod karą zabójstwa umysłowego i niedotrzymania kroku w postępie, poświęcać czasu drogiego językom klasycznym. W chwili, gdy będziemy nadawali ton literaturze europejskiej, śmiało możemy trwać przy językach klasycznych, jak się tego domaga Herbert Spencer, który dzisiaj ze swym narodem stoi na czele umysłowości europejskiej.

Odrzucamy więc łacinę i grekę nie dlatego, że nie pozostają one w związku z życiem praktycznem (w Anglii one także praktycznej wartości nie mają), lecz z tego powodu że Polak, lub Rusin, obciążając swój umysł balastem języków, które bezpośredniej łączności z Europą nie dopuszczają, musi przyswoić sobie, prócz znanego niemieckiego, przynajmniej język francuski, lub angielski. Taki zaś konglomerat języków nie przyczynia się do rozwoju umysłu; nieme te znaki są dopiero środkiem do kształcenia się.

Nie ulega zaś wątpliwości, że usuwając języki klasyczne i zyskując przez to tygodniowo 10 gogzin, t. z. nie mniej, nie więcej, jak trzecią część godzin, przeznaczonych na wszystkie przedmioty wraz z łaciną i greką, — jest to ilość ogromna, — możemy nietylko poświęcić się w szkole innemu językowi europejskiemu, lecz także na podstawie starannych tłumaczeń dokładniej poznać kulturę starożytną, o której nie mamy dobrego wyobrażenia. Wspomniałem o starannych tłumaczeniach dzieł klasycznych. To „prawda niewątpliwa“, że żadne tłumaczenie nie zastąpi oryginału, to ulubiony konik, na którym jeżdżą zagorzali filologowie. Tym razem ogarnia mnie zdziwienie na wspomnienie krótkiej pamięci profesorów — filologów. Zdaje się, że zapomnieli oni o tych godzinach, na których młodzież „rozkoszowała się“ pięknościami językowemi, pomagając sobie bardzo często — widocznie dla subtelniejszego odczucia — tak zwanemi „prozaikerami“. Gdy sobie tylko przypomnę, że w szkole tłumaczymy autorów, a nie czytamy, to może cisną w kąt ten nieużyteczny argument.

Drugim przedmiotem, wymagającym koniecznej reformy, są nauki przyrodnicze. Wyrobić zmysł obserwacyjny, nauczyć patrzyć na następujące po sobie zjawiska, odróżniać w nich przyczynę i skutek, a na podstawie tego dojść do praw ogólnych, — to całe ich zadanie. Czy spełniają je? Tylko w części. Cała systematyka w mineralogii, botanice i zoologii jest nauką czysto pamięciową; no, i wobec warunków, których w szkole nigdy nie będzie można zmienić, należy do niemożliwości, iżby ją traktować inaczej, jak mechanicznie. Okazów i czasu zamało, uczniów zawiele. Wobec tego należałoby ją w wysokim stopniu ograniczyć, a zająć się gruntowniej stroną ogólną. Nie zaszkodziłoby wcale, rozszerzyć poglądy na prawa mnożenia się, zachowania bytu, wzrostu i rozwoju. Dobrym początkiem w tym kierunku jest świetny wstęp do anatomii i zoologii.

W tym duchu rozumiemy reformę języków klasycznych i nauk przyrodniczych. Ma to być reforma systemu. Tylko tu jest system nieodpowiedni, że zresztą przedmiotów nie spełnia należycie swego zadania, w tem pociągnąć trzeba do odpowiedzialności profesorów i ich metodę. I tak:

W matematyce okazuje się najzupełniejsze nierozumienie jej pedagogicznego znaczenia. Zamiast utworzyć pojęcie konieczności logicznej i wyćwiczyć formalne myślenie, zamiast wskazywać na potęgę umysłu, który potrafi za pomocą kilku pewników zbudować jednolitą naukę, przedstawia się ona w szkole, jako bezwładny zbiór dowodów. Rzecz ciekawa, że u młodzieży szkolnej panuje przekonanie, iż możnaby opuścić większą część dowodów i oparłszy się na gotowych twierdzeniach, robić zadania; w nich bowiem objawia się zdolnośc i pomysłowość. Instynktownie czuje ona, że jest bezcelowem. powtarzać dowód z pamięci, jeżeli nawet przypuścimy, że go się rozumie zupełnie. (Bardzo często jest taka reprodukcya czysto mechaniczną). Rzadko spotkać można profesora — trafia się jednak taki, — który każe uczniom s a m o d z i e l n i e, udzielając tylko tu i ówdzie wskazówek, przeprowadzać dowody. Ileż taka metoda wyrabia pomysłowości, jak się ona przyczynia do uświadomienia koniecznego związku logicznego!

Podobnie, jak matematyka przedstawia się, jako zbior dowodów, tak robi historya wrażenie kupy faktów. W oczach profesora jest zbrodnią nie wiedzieć o rozmaitych szczegółach z działalnośri Napoleona; skutki jednak tejże w dziejach cywilizacyi Europy mogą pozostać nieznane. Czego tu zresztą można żądać od uczniów, kiedy nierzadko zbywa profesor krótko ustępy, dotyczące historyi sztuki. nauki i literatury, ponieważ „to właściwie do historyi nie należy“. Zapewnia się wprawdzie, że historya nie jest już historyą królów i wojen, postępuje się jednak, jak za dobrych czasów Weltera.

Nie o wiele lepsze zapatrywanie panuje w historyi literatury polskiej i niemieckiej. Schodzi ona do rzędu encyklopedyi biograficznej, cała praca pedagogiczna ogranicza się na wykreślaniu w podręczniku.

Zostaje nam jeszcze jeden przedmiot: propedeutyka filozoficzna, obejmująca logikę i psychologię. Jest to przedmiot najbardziej po macoszemu traktowany. Dostaje się on w ręce profesorów, którzy nigdy poważniej się nim nie zajmowali, co najwyżej słuchali wykładów w tym kierunku na uniwersytecie. Możnaż sobie wyobrazić, jakie rzeczy wygłasza się na takich godzinach. Z drugiej strony jest błędem wcześniej wykładać logikę, niż psychologię. Psychologia bowiem. jako pojęcie szersze, powinna poprzedzać logikę; najpierw bowiem zawiera w sobie logikę, po drugie, jest nauką opisową, wymagającą mniejszej dojrzałości umysłu. Logika zaś (w znaczeniu szerszem, niż dziś w szkole używana) mogłaby na zakończenie studyów ogarnąć t. zw. metodologię, t. z. pozwoliłaby krytycznie zapatrywać się na zasady nauk, w szkole wykładanych, oraz na ich metody.

W ten sposób przedstawia się reforma szkolna. Jak widzimy, narzekania na system są tylko o tyle słuszne, o ile odnoszą się do języków klasycznych i nauk przyrodniczych. Reszta winy ciąży na samych pedagogach, których inteligencyi pozostawione jest pedagogiczne postępowanie. Za nie system nie odpowiada; musiałby chyba być obmyślany z drobiazgowością chińską, a wówczas zostałby — chińskim.

*) Uwagi niniejsze nie we wszystkiem odpowiadają naszemu na reformę szkół zapatrywaniu. Zamieszczamy je atoli, wychodząc z zasady, iż w sprawie tak doniosłej, jak szkolnictwo, wymiana zdań jest tylko pożądaną. Chętnie też zamieścimy ewentualną odpowiedź sfer interesowanych. — *Redakcya.*

Okręgowe stacye rolnicze w Królestwie Polskiem.

Bezsprzecznie główną anomalię obecnego położenia własności ziemskiej stanowi okoliczność, że ceny produktów rolnych nie są w zgodzie z cenami ziemi: ceny te są wysokie, dochód zaś mały. Koniecznością więc jest podwyższenie dochodów, względnie do wartości ziemi. W każdej okolicy są gospodarze, którzy odnajdują procent od kapitału, wyrażającego wartość ich ziemi. Całym talizmanem owych nadzwyczajnych gospodarzy jest zastosowanie systemu gospodarstwa, uprawy i kultury do natury gruntu. Doszli oni do poznania tej natury zazwyczaj dzięki intuicyi gospodarczej: dar ten jednak posiadają nie wszyscy. Dla ogółu rolników zastąpić go muszą badania globoznawcze, podjęte wspólnemi siłami.

Tej ostatniej kwestyi właśnie poświęca p. W. Grabski w „Bibliotece Warszawskiej“ kilka uwag i projektów, które żywo zainteresowały ziemian w Królestwie Polskiem, a i dla naszych nie będą obojętnemi. Myśli p. Grabskiego dadzą się streścić w następującym wywodzie:

W Królestwie Polskiem jest niezmierna ilość typów gleb, dają się one jednak grupować podług okolic: mówi się zatem o ziemiach kujawskich, kutnowskich i t. d. W każdej takiej okolicy znajdziemy parę właściwych typowych ziem, szereg odmian, oraz szereg zboczeń. Ograniczywszy pole badań do danej okolicy, można dojść do zrozumienia, jakie nawozy, odmiany zbóż, sposoby uprawy i kultury są najwłaściwsze na różnych typach gleb danej okolicy.

Zadanie to spełnić mogą jedynie okręgowe stacye rolnicze i szereg instytucyj, złożonych z grona rolników-praktyków pod kierunkiem specyalisty — człowieka nauki, mającego na swe usługi laboratoryum chemiczne.

Programem działalności tych stacyj byłoby: zebranie i zestawienie wyników doświadczeń, już uczynionych w okolicy w wybitniejszych gospodarstwach, wybranie typowych gleb i założenie na nich pól doświadczalnych, przeprowadzenie badań geologiczno-rolnych danej okolicy, wypróbowanie gatunków zbóż i nasion, ewentualnie produkowanie uszlachetnionych odmian, najwłaściwszych dla okolicy, badanie miejscowych materyałów, służących na paszę itd. Program to na długi szereg lat obliczony, nigdy nie dający się wyczerpać, ale zostaje on określony odrazu wyraźnie, gdyż wypływa z prawdziwych potrzeb rolnictwa. Wprowadzając go w życie, wreszcie rzuca się most nad tą przepaścią, która po dziśdzień dzieli jeszcze naukę rolniczą od praktyki.

Organizacya stacyj powinna obejmować wszystkich rolników danego okręgu. Udział rolników-praktyków warunkuje powodzenie stacyi. Pola doświadczalne powinny się dzielić na dwie grupy: jeden ich szereg musi być rozrzucony w licznych, oddzielnych folwarkach, drugi zaś winien być skoncentrowany w paru najbardziej typowych punktach.

Bodziec do pracy w tym kierunku rolnicy znaleść powinni w pokrewnych usiłowaniach poprzednich pokoleń. Przed 40 tu laty podjęto je pod egidą Towarzystwa Rolniczego i odrazu postawiono kwestyę niezmiernie trafnie. Obowiązek społeczny i własny interes nakazują nawiązać ponownie przerwaną wtedy działalność rolniczą, świetnie i rozumnie rozpoczętą.

PIOTR STACHIEWICZ.



SOBOTNI PROMYK SŁOŃCA.

(Z cyklu: Legenda o Matce Boskiej.)

Dr. Kazimierz Rakowski.

Rok 1846. w Poznańskiem.

(Ciąg dalszy).

Znane są wypadki w Krakowie, w Galicyi i Królestwie polskiem, gdzie Bronisław Dąbrowski, posłany dla przewodniczenia powstaniu, w chwili wybuchu, kiedy właśnie wykomenderowani przez niego sprzysiężeni, pod dowództwem Potockiego wtargnęli do Siedlec, ogłosił rzecz za straconą.

Aresztowanie Ludwika Mierosławskiego d. 12. lutego i mnóstwa sprzysiężonych obywateli w d. 14. lutego, przeszkodziło wybuchowi powstania w Poznańskiem. Ponieważ jednak powstanie w Krakowie zdawało się pomyślny brać obrót, postanowili niektórzy spiskowi miasto Poznań i fortecę opanować i uwięzionych towarzyszy uwolnić. Gdyby się wykonanie tego planu udało, uwięzieni wówczas spiskowi byliby mogli popierać plany rewolucyjne przez siebie ułożone, których inni nie znali. Na czele tego przedsięwzięcia, stali: Niegolewski, kandydat prawa Chamski i kandydat filozofii, Ludwik Paternowski. Niegolewski objeżdżał okolice Poznania, dla nakłonienia chłopów do udziału. W samem mieście znajdowało się mnóstwo spiskowych; szczególnie czynnym okazał się Aleksander Neymann, piekarz, i Essmann. Powstanie miało się zacząć wieczorem o godzinie 11-tej, d, 13. marca 1846. r. Miejscem zbioru były piaski Swarzędzkie, pod młynem S. Jańskim i cmentarz garnizonowy. Spiskowi po większej części byli już uzbrojeni, inni mieli być opatrzeni w broń na miejscach zbornych. Dowódcy przedsięwzięcia zamierzali fortecę niespodzianym napadem zdobyć, ponieważ sądzili, że z garnizonu niektórzy oficerowie, kilkunastu podoficerów i część żołnierzy dla sprawy byli przychylni.

Dnia 3-go marca w południe, prezydent policyi w Poznaniu otrzymał wiadomości o zamierzonym ruchu; wiadomości te stały się nareszcie tak pewne, iż nie było można wątpić, że ruch wybuchnie tej samej nocy; dlategoteż natychmiast wspólnie z komendantem miasta, przedsięwziął środki dla odparcia ataku. O godzinie $10^1/_2$ stał batalion piechoty z dwoma armatami na placu działowym, a jedna kompania oraz pół szwadronu huzarów stały przy policyi. Warty w więzieniach były podwojone; wojsko w fortecy zaalarmowano, wojsko miało broń nabitą, a odwachy wzmocniono 50-ciu żołnierzami. Rozporządzenia te obudziły uwagę dowódców przedsięwzięcia i dlatego postanowili władzę uprzedzić. Godzinę powstania naznaczono wtedy na $8^3/_4$ wieczorem i postanowiono zebrać się w okolicy Szeląga i na cmentarzu św. Wojciecha. Lecz właśnie rozkazy te przeszkodziły wybuchowi powstania; spiskowym, za obrębem miasta mieszkającym, nie można już było udzielić wiadomości o późniejszych rozkazach. Gdy więc dowódcy nanowo przeznaczone miejsca zebrań przybyli i zastali mało ludzi, zwątpili o skutku przedsięwzięcia. Tejże nocy z 3. na 4. marca poaresztowano znowu znaczną liczbę spiskowych.

Tak spełzło na niczem zamierzone na wielką skalę powstanie. Początkowe aresztowania nie budziły nawet wielkiego współczucia dla więźniów. Grunt pod powstanie nie był przygotowany, więc też spiskowców wiatrogłowami i szaleńcami nazywano, zasyłając im do więzień radę: „możecie się wyspać, jakeście sobie pościelili“.

Jeśli taką obojętność spotkał los zamierzonego powstania w klasie średniej,

to tem większą obojętność zauważyć było można u ludu. Agitacya, o ile jakąkolwiek agitacyę wśród ludu dla idei powstania starano się rozwijać, natrafiała na grunt bardzo niepodatny, gdyż zazwyczaj nie była zastosowaną do duchowych potrzeb ludu i błądziła w sferze abstrakcyi, niezrozumiałej duszom prostym, do których prawdy demokratyczne tylko w szacie uczuć miłości i braterstwa, w szacie religijnej trafić mogą. Demokracya ówczesna nietylko nie zapewniła sobie wcale współdziałania księży, którzy wówczas rolę propagatorów idei odgrywać mogli, lecz nawet w ostry z dogmatem religijnym weszła zatarg. Powtóre: w dążnościach zawiele było pierwiastka ogólno-ludzkiego, zamało rdzennie narodowego; idea społecznej rewolucyi przytłumiała ideę rewolucyi, skierowanej ku wyswobodzeniu narodu.

W myślach spiskowców zawsze na pierwszym planie stała reforma społeczno-polityczna, ku której szczeblem tylko miało być zdobycie niepodległości. Rewolucya ta miała być hasłem rewolucyi w całej Europie, a jeden ze spiskowców, Wł. Kosiński, tak się z marzeń niedoszłych powstańców spowiada:

„Jak niegdyś Francya przodowała wszelkiemu postępowi, tak byłaby Polska stanęła na czele ruchu Europy. Polska byłaby dała przykład społeczeństwa, opartego na równości i braterstwie; koło niej nietylko inne słowiańskie narody, jako około swojej matki, byłyby się skupiały, ale cała Europa, w swej posadzie wstrząśnięta, byłaby się na wzór i z popędu od Polski danego, urządzała“.

Niemniej charakterystycznie cele te odźwierciedlają się w wierszu K. Balińskiego p. t. „Nasza pieśń“, który na kilka dni przed wybuchem rewolucyi został napisany:

„Choć pierś wieszczą kat rozdusi,
„Pieśni mojej nie przytłumi!
„Bo pieśń moja zagrzmieć musi!
„Lud ją pozna i zrozumi!

„Choć wieszcz skona bez zawodu,
„Koniec będziecie słyszeli! —
„Dośpiewa ją duch narodu!
„Gdzie? — Na gruzach cytadeli!
„Na jej działach zagwożdżonych,
„Na jej murach wysadzonych!
„Cała ludzkość ją usłyszy
„I odwtórzy wam z pośpiechem

„I z wami się stowarzyszy
„Jednym tonem — jednem echem!
„Na wszech berłach podeptanych!
„Na wszech tronach zdruzgotanych!

Niedoszłą rewolucyę 1846. roku, charakteryzują tendencye społeczne w teoryi i jej nieumiejętność zjednania sobie ludu w praktyce.

Ogółem aresztowano na całym obszarze Księstwa, a po części i Prus, 700 osób zgórą. Z aresztowanych w Poznaniu część internowano na razie w lazarecie wojskowym. Więzienia były przepełnione. Ponieważ Poznań nie wydawał się stosownem miejscem pobytu dla politycznych przestępców, porozmieszczano ich po rozmaitych pruskich więzieniach. Partyę więźniów, do której należeli A. Guttry i Adolf Malczewski, przeniesiono do Głogowy, na Śląsk. W Głogowie, jak opowiada Guttry w swych pamiętnikach, udało mu się skomunikować z pewnym więźniem z Galicyi. Od niego dowiedział się o rzezi. Co za straszne moralne katusze przechodzili uwięzieni, gdy ich dochodziły wieści o rzezi galicyjskiej zza murów więzienia!

(Dok. nast.)

M. RODOĆ.

FRASZKI.

Cywilizacya z każdą pęcnieje godziną;
A łzy na bożym świecie, jak płyną, tak płyną.

* * *

Polityka wtrąciła świat w tak miłe błoto,
Że uczciwość jest dzisiaj nieledwie głupotą.

* * *

— Pan jesteś świnia! Znam Pańskie sprawy,
Każda z nich brudu jest stekiem.
— Pan mi pochlebiasz, Panie łaskawy,
Ja jestem tylko — człowiekiem.

Dr. Jan Stella-Sawicki.

Krwawy dramat syberyjski.

Zdarzenie prawdziwe.

(Ciąg dalszy.)

Z łupem swoim sprawnik wracał tryumfująco, a przechodząc około drzewa na którem wisiał przywiązany za ręce strzelec, krwią oblany cały, widząc, iż już nie żyje, plunął mu w twarz dodając: „Wot tiebie sobaka lach, majo pogrebalnoje słowo“. (Oto, psie Lachu, moja pogrzebalna mowa.)

Chłopi, niewinni świadkowe tej niewinnej egzekucyi, wracając, szeptali między sobą, że zginął człowiek niewinnie, bo widocznem było, że bydło naumyślnie przypędzono ku chacie strzelca, żeby na niego padło podejrzenie. Gdyby on ukradł, mówili, to pewnoby je schował gdzieś głęboko w lesie, a nie tuż niedaleko od drogi.

Tymczasem strzelec nie umarł, lecz zemdlał tylko z bolu, wielkiej utraty krwi i wstrząśnięcia mózgu ostatniem uderzeniem sprawnika po głowie. Gdy sprawcy oddalili się, żona przecięła więzy, przyniosła go do chaty i zaczęła rany okładać ziołami, namoczonemi w wódce. Kilka miesięcy leżał w łóżku strzelec, męcząc się okropnie; lecz silna natura jego przemogła, chociaż ciało jego było tak poszarpane i pokaleczone, że zdawało się iż jest zszyte z różnych gatunków i kawałków skóry.

Gdy już mógł wstać z łoża i chodzić, Czoborski kazał żonie, żeby zebrała manatki swoje i przygotowała się do drogi. Żona przywykła do posłuszeństwa od dziecka, spełniła polecenie, nie pytając, co robić dalej zamyśla. Czoborski schudł okropnie, zmizerniał i wyglądał, jak upiór, czarne tylko oczy jego świeciły ogniem ponurym. Zebrawszy wszystko, co posiadał, strzelec podpalił dom swój z czterech stron, a gdy już ostatnia spaliła ściana, w mroźny zimowy dzień wyruszył z żoną na Wschód.

Długa zima pokryła okoliczne góry płachtą śniegu. W piękny dzień zimowy, gdy ukośne promienie słoneczne ociepliły nieco powietrze, sprawnik i jego satelici wyruszyli na polowanie do bliskiego lasu. Polowanie udało się znakomicie; każdy niósł z sobą wiązkę różnego ptactwa, lecz gdy się zebrali na polanie dla posiłku, nie przybył podsędek Chaborow, który zabłąkał się, albo zapędził się zadaleko za zwierzyną. Napróżno trąbka grała, Chaborow nie nadchodził.

Zimowe dni Sybiru są krótkie, zmrok zgęścił się, na szafirze nieba zaczęły występować mrugające gwiazdki, potrzeba było wracać do domu; wesoła kompania napiwszy się wódki, śpiewając poszła do domu, mówiąc: wróci sam. Lecz Chaborow nie wrócił.

Na wiosnę znaleziono w lesie kości ogryzione przez drapieżne zwierzęta; czaszka była przebitą z tyłu: domyślano się, że to był Chaborow i że niedźwiedź rozszarpał nieostrożnego myśliwego...

Nastąpiło lato. Wysoko nad górami stada żórawi klekotaniem ogłaszały swój przelot; niżej nad Ingodą krążyły jastrzębie, zakreślając swym lotem koliste figury w powietrzu. W lesie było słychać pukanie głuszców, świstanie kulików, granie cietrzewi, skrzeczenie żołny, ciurkanie dzięcioła i śpiew ptaka podobny do śpiewu słowika. Chór ptactwa przeróżnego wszędzie się rozlegał, napełniając dźwiękami bory, gaje, błonia i skały. Nad brzegami rzeki czaple stanęły szeregiem, jak posągi, niby straż nieruchoma, czekając na ryby, pokazujące się na powierzchni wody. W powietrzu panował dziwny spokoj, góry i doliny pokryły się od kwiatów, a powietrze było napełnione zapachami. Przyroda nęciła, zapraszała do zabawy, do przechadzki.

Pan sprawnik, zebrawszy liczne towarzystwo, wyruszył znowu na polowanie. Zwierzyny było mnóstwo; huk strzałów rozlegał się ze wszystkich stron; każdy obarczony zwierzyną wracał do domu. Nie było tylko Hendrychowa i Łobonowa.

— Panowie, rzekł sprawnik, musimy wrócić i poszukać ich, bo może ich spotka to samo, co spotkało Chaborowa. Towarzysze, uznawszy słuszność uwagi, rozsypali się po lesie, umówiwszy się, iż strzałem dadzą znać, jeżeli znajdą zbłąkanych. Z pół godziny upłynęło w napróżnych poszukiwaniach; wtem padł strzał raz z prawej, drugi raz z lewej strony: towarzystwo rozdzieliło się na dwie części i każda poszła w kierunku strzału.

Jakież było przerażenie wszystkich, gdy znaleziono Hendrychowa i Łobanowa, leżących we krwi, zabitych. Po twarzy krew płynęła: kula ugodziła była obudwu w oko i wyszła przez czaskę. Zabici leżeli na ziemi w ubraniu swojem, przy zegarku i pieniądzach — więc nie chęć zysku była powodem zabójstwa. Ktoś z przytomnych przypomniał o strzelcu polskim, który powiedział na przeszłorocznej zabawie, że inaczej nie strzela do grubego zwierza, jak tylko w oko.

— To on, to sprawa tego Polaka, wyrzekli wszyscy, a zemsta jest powodem. Jeden z towarzystwa dodał, iż zagłębiwszy się do lasu spotkał człowieka wysokiego i barczystego, mającego strzelbę na ramieniu; nieznajomy spojrzał na niego tak

przerażająco, jakby go okiem chciał zabić, długo wpatrywał się w twarz jego, potem odwrócił się i krokiem powolnym poszedł w gęstwinę. Teraz zrozumiano, skąd pochodziła dziura w czaszce Chabarowa. Przerażenie było ogólne. Wszyscy zbiegli się w gromadę, bojąc się wracać do miasta w pojedynkę. Na czele szedł sprawnik i jego towarzysze zbrodni, dokonanej na biednym strzelcu, przestraszeni niezmiernie, bo trzech już z towarzystwa ich straciło życie.

— Ale to być nie może, mówił sprawnik, wszakżeśmy go zostawili bez życia na miejscu! Czyżby odżył? Potrzeba będzie jutro zrobić obławę i złowić rozbójnika.

W chwili, gdy schodzili z góry, z dolin już znikały ostatnie promienie słońca, a szczyty błyszczały jeszcze, jak głowy świętych na obrazku, obłoki żółkły i coraz inaczej się farbowały. Wtem na urwisku skały, oddalonej zaledwo na jakie pięćdziesiąt kroków od drogi, pokazała się czarna postać. Mimowolnie zwrócili wszyscy oczy na to zjawisko, lecz w tym momencie rozległ się strzał i kozacki oficer Pietrow padł ugodzony kulą w oko. Przestrach powstał tak wielki, iż wszyscy pobiegli ku miastu, rzucając niebo-szczyków, których nieśli do domu.

Na drugi dzień, z rozkazu gubernatora, około czterystu uzbrojonych ludzi wysłano na obławę do okolicznych lasów. Obława zeszła się od doliny, gdzie dawniej mieszkał Czoborski. Na miejscu domu znaleziono tylko wyziębłe zgliszcza. Cały dzień przetrząsano lasy we wszystkich kierunkach, lecz nigdzie ani śladu strzelca nie znaleziono.

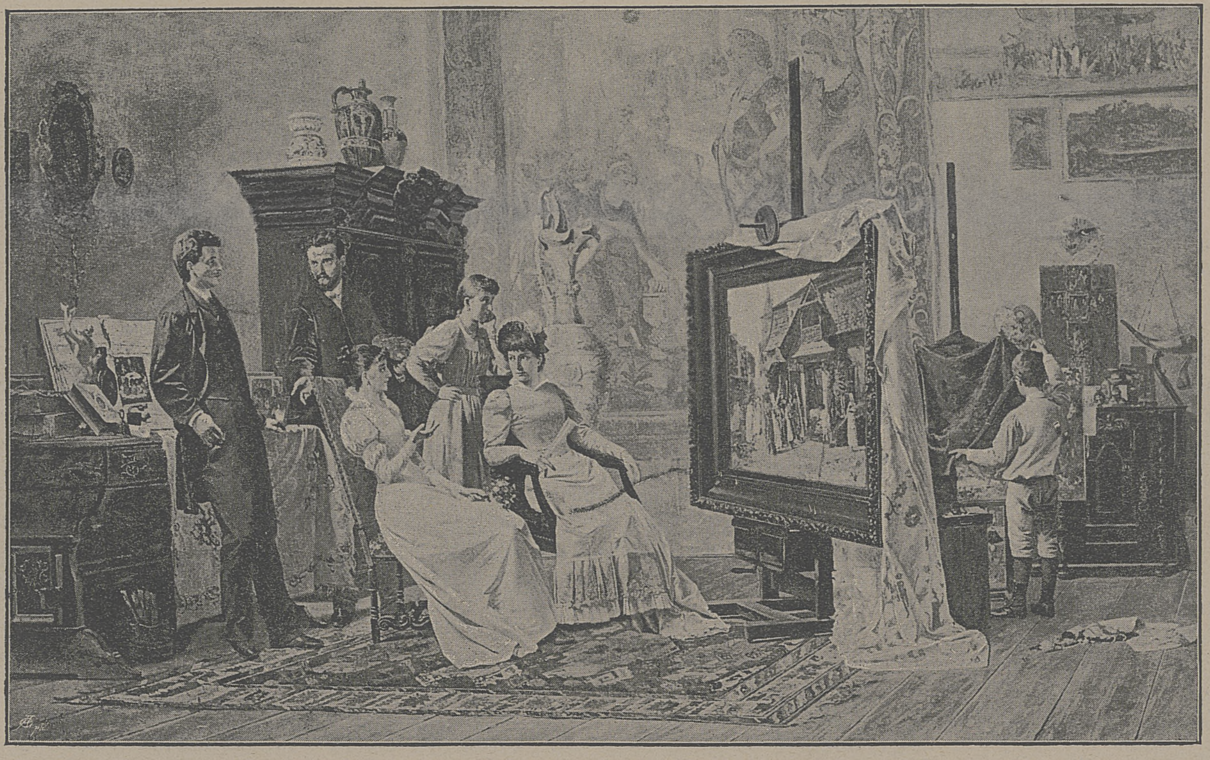
Można sobie wyobrazić, jaki w mieście ruch powstał po tak niezwykłym wypadku; jedni byli za tem, żeby ścigać Czoborskiego, robić częste obławy i wyznaczyć cenę za jego głowę, drudzy mówili, że to była zemsta za niezasłużoną i niesprawiedliwą karę i w oczach ich nieszczęsny wygnaniec urósł na bohatera, bo siła i energia imponują Moskalom i budzą w nich poszanowanie.

Przestrach pozostałych pięciu wspólników zbrodni, będących przy życiu, był nie do opisania. Zamknęli się w domu, nikt z miasta nie wychodził, zaczęli unikać jeden drugiego i szumne orgje ustały.

W końcu lata kupiec Safjanow musiał udać się za Nerczyńsk do kozackiej wsi Gorlicy nad Szyłką. Tam Oroczanie, dzikie plemię, składali w tym czasie jasak, czyli podatek i zaopatrywali się u kupców w proch, mąkę i inne potrzebne im rzeczy, za wszystko płacąc skórami. Zebrania te nazywają się sułgon, czyli jarmarki. Safjanow lękał się jechać pocztową drogą i dla tego, zebrawszy towary swe, siadł na tratwę, która płynąc po Ingodzie, mogła go zawieść aż na miejsce.

Raniutko tratwa odbiła od brzegu. Prąd ją niósł szybko między skały. Gruba mgła zaległa nad okolicą tak, że przez nią brzegów nie można było dojrzeć. Lecz około dziesiątej godziny zrana mgła się rozrzedziła i podniosła do błękitu nieba, kształtując na nim owe łabędzie, gąski i żagle, których formę obłoki przyjmują. Słońce się pokazało. Rzeka płowo zielonego koloru, niby wstążka rozwiana wiatrem, kręciła się między skałami obrosłemi lasem. Fala prędko unosiła statek mimo potoków, które skacząc po kamieniach między drzewami, wpadają do rzeki. Na brzegach w wiklinie skrywało się mnóstwo dzikich gęsi i kaczek, które przestraszone zbliżaniem się tratwy, z krzykiem i kwakiem trwogi ulatywały nad wodą w inne bezpieczniejsze miejsca.

ANTONI GRAMATYKA.



W PRACOWNI ARTYSTY.

Przyroda była tak piękna, że wszyscy jadący stanęli na tratwie i ciekawie przypatrywali się cudownej panoramie, co chwilę zmieniającej się. W jednem miejscu na brzegu stała żółta skała, jakby utworzona ze zbicia i nagromadzenia architektonicznych słupów; sosna, uczepiwszy się prostopadłej ściany, wysoko podniosła swą iglastą koronę. Około sosny stał wysoki mężczyzna ubrany po syberyjsku, w kożuchu i urtach, to jest rodzaju ciżem skórzanych, włosem obróconych do ciała. Safjanow patrzał na tego człowieka z początku obojętnie, lecz wtem krzyknął z przerażenia, gdyż poznał wzrok strzelca, którego katował. W tej chwili nastąpił wystrzał i kupiec potoczył się do rzeki ugodzony kulą w oko. Strzelec odwrócił się i spokojnym krokiem zstąpił ze skały, znikając z oczu przerażonych podróżnych.

Wiadomość o tym wypadku wstrząsnęła nanowo całą społecznością Czyty. Nikt już nie wątpił teraz, że to jest kara, która spadała na sprawców zbrodni. Pozostali przy życiu zbrodniarze trzęśli się ze strachu na samo wspomnienie strzelca. Sprawnik aż posiwiał z niepokoju, chodził codziennie do cerkwi, zrobił się potulnym, grzecznym dla wszystkich, a sędzia prosił o przeniesienie go do Bargużyńska, żeby oddalić się od strasznego wroga, którego schwytać było niepodobna, bo wszystkie obławy nie doprowadziły do żadnego skutku.

Sędzia Połuszkin mieszkał w domku na krańcu zachodniej części miasta. Był to wielki lubownik kwiatów; miał ładny ogródek i codziennie zrana zaledwie słońce wstało, zajmował się ich pielęgnowaniem i plewieniem. Jednego poranku wyszedł z domu według zwyczaju do ogrodu, gdy jeszcze wszyscy spali. W powietrzu rozlane były upajające wonie; słońce świeciło i grzało tem łagodnem światłem i ciepłem, które zsyła na ziemię przy jej przebudzeniu się; przyroda cała uśmiechała się do człowieka; ptaszki śpiewały swą modlitwę poranną. Wtem coś zaszeleściało w krzewie bzu. Sędzia zwrócił oczy w tę stronę i obaczył postać strzelca, który, podniósłszy straszną swą strzelbę, czekał aż sędzia pozna go dobrze. Przerażony tem zjawiskiem, sędzia krzyknął „czort“ i chciał uciekać, lecz kula ugodziła go w oko, a strzelec przeskoczył szybko przez parkan, dosiadł konia uwiązanego do drzewa i w kilka chwil zniknął w zaroślach gór, otaczających Czytę.

Te tak częste zabójstwa, dokonywane przez jednego i tegoż człowieka, zniewoliły gubernatora do powiększenia ceny za głowę Czoborskiego, lecz zdaje się, iż lud okoliczny protegował go z nienawiści do sprawnika, bo chociaż i byli ludzie, którzy widzieli go w lesie i we wsiach okolicznych, dokąd przychodził kupować chleb i proch, lecz nikt nie chciał go schwytać, pomimo obiecanej sutej nagrody.

Pozostali trzej wspólnicy postanowili uciekać. Sprawnik podał prośbę o przeniesienie go do Tomska, a Ławrow na żądanie własne został przeniesiony do Irkucka.

(Dokończenie nastąpi.)



Anna Neumanowa.

Wspomnienie.

Mów ty mi o nim! O! jasny błękicie,
Co w swe objęcia zgasłe chwytasz życie;
Mówcie mi o nim, kryształowe rosy,
Rzucone razem na złociste włosy.
Mówcie mi o nim, wichrów skrzydła lotne,
Wy mu na czoło dumne i samotne
Chłód kładły... — Dzisiaj, gdy łzy bólu ronim,
Mówcie mi o nim!

Mówcie mi o nim, gór ciemne łańcuchy
W perłowych szronów otulone puchy,
Mówcie mi o nim, smutne świerków gwary,
Rączych potoków rozmodlone czary;
Wśród skał rozpierzchłe tęsknych wspomnień echa,
Od których dotąd każda się uśmiecha
Paproć w tych górach, — gdy ślad szczęścia gonim,
Mówcie mi o nim!

Mów ty mi o nim, ziemio grobów cicha,
Co sen rzuciłaś na pierś mu wzburzoną
I łzy u kwiatów zawieszasz kielicha
I nowe życie w trumien kładziesz łono;
Przepaści pełna tajemnic i cienia,
Co chłoniesz blaski naszego istnienia,
Zanim na pierś twą blade czoła skłonim,
Mów ty mi o nim!

Henryk Zbierzchowski.

EDWARD GRIEG.

STUDYUM.

Muzyka — jest matką wszystkich sztuk pięknych.

Będąc najdoskonalszą formą materyi, ruchu, proporcyi i uczucia, jest ona tak dawną, jak dawnym jest świat cały materyalny i duchowy, jak dawnym jest człowiek i jego uczucia; — muzyka jest wieczna.

Z niej jesteśmy w stanie wyprowadzić, niby z pra-źródła absolutnego piękna, najpierwotniejsze zaczątki poezyi, malarstwa i rzeźby. Rytm muzyczny tak różnorodny, a tkwiący we wszelkim ruchu, wykołysał na swoich falach najmłodsze dziecko, bardzo ukochane i bardzo słoneczne — poezyę; — harmonia muzyczna, którą spotykamy we wszystkich zresztą tworach natury, wydzwoniła i utrwaliła rzeźbę. Przypominam tylko Lessinga, który nazwał rzeźbę *„Gefrorene Musik“*.

Proporcya muzycznych frazesów, jakaś idealna perspektywa dźwięków, wydała malarstwo. A nad kołyską tych trojga dzieci słońca i mroku, szczęścia i bolu, unosi się, jak gwiazda świetlana, uczucie, wyssane z piersi matki-muzyki w zamierzchłych jeszcze epokach tworzenia.

Sławny naturalista Oken powiada: „Muzyka — to odwieczny przedbytowy ruch materyi, według którego my sądzimy, że głos Boga odkrywa nam swe plany i najtajniejsze swe głębie odsłania. Bezwątpienia śpiew jest tak dawny, jak i mowa. Człowiek, zanim myślał i tworzył, odczuwał, — a bezpośrednią formą uczucia jest dźwięk, ton“, — a Goethe dodaje: „Muzyka jest najcudowniejszem objawieniem Boga“.

Mimo tego znaczenia i potęgi muzyki, jest ona najmniej cenioną ze wszystkich sztuk pięknych.

Ogół ludzi uważa ją bądź, jako miłe podrażnienie ucha po dobrej kolacyi i winie, bądź, jako środek pobudzający strętwiałe muskuły nożne do ruchu po śliskiej posadzce sali balowej...

A jej istota tak tajemnicza i niezbadana! A jej przepastne głębie, w których można utopić świadomość własną i czuć się tylko wszechistotą!

„Zostawmy to wybranym i szaleńcom“ — powiada pan X. z pobłażliwym uśmiechem. Lecz kto ukocha muzykę taką, jaką jest w istocie, kto ukocha muzykę dla muzyki i zrozumie to cudowne mysteryum dźwięków, tego przytuli ona do siebie, jak kochająca kobieta; odgarnie, jak dziecku, długie włosy z czoła i szeptać mu będzie w ucho dźwięczne melodye słonecznych upojeń...

* * *

Chcę mówić o muzyku genialnym, o kompozytorze tak oryginalnym, że nie wywołał żadnych prawie naśladowców, — o człowieku, którego kiedyś w Panteonie narodowym umieszczą obok Ibsena. Ojczyzną mu Norwegia. Dziwny to kraj, górzysty, zimny; poszarpany przez morze, które wciska się gwałtownie w nadmorskie ugory, tworząc fantastyczne zatoki i przylądki.

Ubogie, rzadko zaludnione wioski, rozrzucone w wąwozach i dolinach, tulą się do tej kamiennej piersi gór-staruszków, okrytych od wieków siwizną białych śniegów. Północne, zimne wichry szaleją tu przez cały prawie rok, wygrywając rozpaczne melodye pod niebem jasno błękitnem, wypłowiałem, szarem. A dodajmy do tego: to morze tak często niespokojne i wzburzone, które uderzając o brzegi, pluszcze miarowo, monotonnie, nudnie — morze melancholii i zniechęcenia, wiecznego smutku i wiecznej tęsknoty! A przy akompaniamencie tego morza i łkającego wichru, odzywa się od czasu do czasu smutny, rzewny głos fujarki pastuszej, niesiony echem coraz dalej i dalej, albo namiętny taniec ludowy, naprzemian wesoły i smutny.

Niema tu europejskich praw formalistyki, łagodzącej i osładzającej wszelki wylew uczucia. Norwegczyk, kiedy płacze, to nie łapie łez na chusteczkę i nie liczy, ile się ich już wylało, a ile ma jeszcze w zapasie, ale łka rozpacznie na cały głos, objąwszy głowę rękami...

Z takiego kraju i z takich ludzi pochodzi Edward Grieg, urodzony w roku 1842. w mieście Bergen. Miejscowość ta, położona nad brzegiem morza, owiana jest jakimś mistycznym urokiem średniowiecznej tradycyi, jakiemś dziwnem ukochaniem zamierzchłych, świetnych czasów, epoki fantastycznych zamków, bronionych przez smoki, i olbrzymów, i rycerzy, którzy rano mordowali ze spokojem zbłąkanych wędrowców, a wieczorem śpiewali pod oknem swej kochanki piękne pieśni o miłości i kochaniu.

O młodości Griega wiemy niewiele. Zapewne w noc jakową, w noc cichą, zadumaną, miesięczną, kiedy niebo rozzłociło się gwiazdami, a świat rozdźwięczał ciszą, — podczas takiej nocy, w której odbywają się dziwne, święte, a nieprzeczuwane mysterya, — po promieniu światła księżycowego spłynął biały anioł a zawisłszy nad kolebką śpiącego dziecięcia, włożył mu w duszę lutnię złotostruną, na której dotąd nikt nie grał, prócz aniołów niebiańskiej kapeli. A potem rozpalił mu w sercu jedną z gwiazd, lśniących na nieskończonych przestworach i złożywszy pocałunek na białem czole dziecka, odszedł w poświacie promieni hen... ku gwiazdom.

Matka, zbudziwszy się w godzinę później, żegna się z obawą i wiarą, a rano rozpowiada, że ogarnął ją po północy jakiś dziwny sen, w którym słyszała cudne melodye sfer niebieskich, podobne graniu organów w zadumanych kościołach i czuła dokoła siebie jakąś błogą, upojną woń lilij białych..

„To było w śnie — może nie w śnie“.

Zapewne później, jako chłopiec, uganiał po górach ojczystych i zrywał kwiaty, dziwiąc się, że one nie płaczą, kiedy się je odrywa od łona matki rodzicielki w dobie rozkwitu i pierwszej młodości, — zasłuchany w tęskne tony fujarki pastuszej, która tysiącem ech tajemnych rozchodzi się po górach, jarach i wąwozach, łącząc się ze szmerem strumieni, morza szumem i łkaniem wichru w jakąś symfonię natury tajemniczą a wielką. Wieczorem, kiedy zachód zapalił śniegi na szczytach górskich i rozrzucił czerwone snopy swych warkoczy na nieskończone powierzchnie morza, siadywał na nadbrzeżnej skale i oparty na dłoni, słuchał tego monotonnego plusku morza, które całuje co wieczór na dobranoc poszarpane brzegi ziemi...

Zapewne były chwile, kiedy rozgrała mu się złota lutnia w piersi i stawał nieruchomie zasłuchany w siebie z zamkniętemi oczyma i zapartym oddechem.

O święta chwilo zachwycenia! O tajemnicze mysteryum ducha!...

Zapewne... O młodości Griega wiemy bardzo mało. Nie chcę przytaczać jakichś błahych, a rzekomo ważnych szczegółów, które wymyślają skrupulatni biografowie wielkich ludzi, aby mieć czem zapełnić tysiąc kartek swego cennego dzieła. Jeden z najzdolniejszych uczniów konserwatoryum lipskiego, kończy studya muzyczne w Kopenhadze pod okiem Gadego, Nestora nowszej muzyki norwegskiej.

Komponować zaczął bardzo wcześnie, rozpoczynając, jak zwykle, od lirycznych piosnek i mniejszych utworów fortepianowych. Chwila, w której wystąpił młody kompozytor północy, była bardzo ciekawą.

Epoka muzyki nowoczesnej, poprzedzona wystąpieniem takich kolosów ducha, jak Bach, Mozart, Beethoven, zapowiadała się świetnie. Młodzi mistrze, kształceni na tak świetnych wzorach, jakie pozostawiła ta nieśmiertelna trójca klasyczna, jak niegdyś prorocy romantyczni, pełni zapału wystąpili w świat, gdzie czekały ich wielkie tryumfy i wielkie upokorzenia. Zadanie ich było już nieco łatwiejsze, niż poprzedników, którzy musieli dopiero torować sobie drogę w niebotycznych krużgankach muzyki średniowiecznej.

Śpiew jednogłosowy starożytności, harmonia średnich wieków — połączyły się w nierozerwalną całość i doszły do możliwej doskonałości. Jedynie forma nie była jeszcze zupełnie rozwiniętą i ona

FERDYNAND PACHER.



ZDRADZONA KRYJOWKA.

głównie stała się polem popisu dla młodych muzyków.

Toteż cyzelowali oni formę muzyczną z ogromnem zamiłowaniem, tworząc prawdziwe cacka muzyczne.

Wtedy wyśpiewała nam wiecznie łkająca tęsknica Chopina swe Nokturny, Ballady, Scherza, Impromptus, Walce i Mazurki; wtedy rozdźwięczała się zadumana dusza Schumana w „Karnawale“ i misternych „Albumblätter“; wtedy to rozczuliła się wezbrana uczuciem pierś Schuberta w tysiącach pieśni, wtedy to pochwycił Wagner złoty róg rycerza Graala i grał na nim dziwne, zamierzchłe dzieje i niesłyszane dotąd melodye. Dodajmy do tego ten idealny „canto“ Mendelsohna, błyskotliwość namiętną Liszta, karkołomność Paganiniego, a będziemy już mieli zupełny obraz tej bogatej i tak ciekawej epoki muzycznej. A potem? Potem nastąpił czas zupełnego wyczerpania, epoka naśladownictwa, zastój, nieprzerwany żadnym świeżym powiewem, żadnem nowem drgnieniem. Coraz więcej mnoży się wykonawców i wirtuozów, którzy, co prawda, szerzą znajomość muzyki u publiczności, ale brak zupełny genialnych twórców... Okres ten trwa, na szczęście, niedługo. Znowu tak, jak w dramacie, malarstwie i rzeźbie, odezwał się z północy, gdzie się najmniej tego spodziewano, jakiś groźny pomruk, zwiastujący pochód nieznanych, niewidzianych dotąd olbrzymów... Pomruk ten odbił się głośnem echem o skały Norwegii i rozszedł się po całej Europie, budząc ją z chwilowego snu i otrętwienia.

Zrazu zaczęto lekceważyć tych ośnieżonych nowatorów północy, ale później musiano się z nimi liczyć.

(Ciąg dalszy nast.).

Edgar Allan Poe.

Żabinóżka.

Niema z pewnością na świecie człowieka, którzyby więcej znajdował upodobania w dowcipach, aniżeli król. Zdawało się, że tylko w tym celu żyje, a najpewniejszą drogą do uzyskania jego łaski było piękne wygłoszenie dowcipnej opowieści. Ministrowie jego słynęli ze sprytu i ciętego dowcipu. Pod tym względem byli zupełnie podobni do króla, a zgadzali się z nim również ze względu na swą tuszę. Nigdy dojść nie mogłem, czy ludzie grubieją na ciele z dowcipkowania, czy naodwrót otyłość jest powodem dowcipkowania. Pewnem jest atoli, że chudy dowcipniś — to *„rara avis in terris“*.

O subtelność dowcipu król nie dbał. Podziwiał jedynie rubaszność, na korzyść której zrzekał się długości. Zbytnie wyrafinowanie nużyło go.

W owych czasach, na które przypada moja opowieść, było zwyczajem utrzymywać na dworach zawodowych śmieszków. Na dworach wielkich mocarstw ujawiały się jeszcze „nadworne błazny“, poubierane w pstre suknie, w kapturkach i z dzwonkami; za resztki, sprzątane z wielkopańskiego stołu, mieli obowiązek improwizowania i bawienia żartami stołowników.

Rozumie się, że i nasz król nie obchodził się bez „błazna“. Koniecznie musiał mieć w swem pobliżu coś, co ma styczność z głupotą, aby ją przeciwstawić ociężałej mądrości siedmiu sprawujących czynności ministrów — nie wspominając już o nim samym.

Zawodowy jego trefniś, był nietylko błaznem. Wartość jego zwiększała w oczach królewskich okoliczność, iż był równocześnie karłem. W czasach, kiedy na dworach utrzymywano błaznów, zwyczajem było również, otaczać się karłami. Wielu monarchom ciężko byłoby spędzać dni — a na dworze czas mija powolniej, niż gdzieindziej — gdyby nie posiadali trefnisiów, pobudzających ich do śmiechu i karłów, z którychby się mogli śmiać. Jednakowoż, jak już wspomniałem, w dziewięćdziesięciu dziewięciu na sto wypadkach byli trefnisie grubymi i nieporadnymi. Słusznie więc mógł się nasz król poczytywać za szczęśliwca, posiadając w Żabinóżce — bo tak zwał się błazen — dowcipnisia i karła.

Sądzę, że nazwy — Żabinóżka — nie dano karłowi przy chrzcie; otrzymał ją po wielkiej naradzie króla z ministrami wskutek tego, iż nie umiał chodzić, jak inni ludzie. Żabinóżka jedynie za pomocą podskoków mógł się poruszać, a wykonywał przy tem ruch, pośredniczący między skakaniem a ślizganiem. Każde jego poruszenie wywoływało niemilknące wybuchy śmiechu, a dla króla stanowiło pewien rodzaj pocieszenia, bo, jakkolwiek tenże uchodził na dworze za zjawisko nadzwyczaj okazałe, to jednak odznaczał się ciałem bardzo okrągłem i cierpiał na chroniczne nabrzmienie głowy...

Chociaż więc karzeł tylko z wielką trudnością z powodu pokrzywionych odnóży mógł się poruszać po ziemi, to jednak tam, gdzie się nadarzała sposobność drapania się, czy to na linie, czy na drzewo, okazywał się wskutek ogromnej siły muskułów, mistrzem; w ten sposób przyroda udzieliła mu odszkodowania za wadliwość, jaką go obarczyła. Podczas takich ćwiczeń można by go raczej porównać z wiewiórką, lub małpką, aniżeli z żabą.

Nie znam miejscowości, skąd karzeł pochodził. Prawdopodobnie był to kraj pusty, o którym nikt nie słyszał i leżący daleko poza granicami państwa naszego króla. Zarówno Żabinóżka, jak młodą dziewczynę, nieco tylko wyższą od niego, zbudowaną jednak przecudownie i ślicznie tańczącą, porwano gwałtem z ojczyzny i zawieziono do kraju, graniczącego z państwem królewskiem. Królowi posłał oba karły jeden z jego zwycięzkich generałów.

Nie należy się dziwić, że wśród takich okoliczności między oboma zawiązał się wkrótce stosunek ścisłej przyjaźni, tak że wkrótce jedno nie obchodziło się bez drugiego. Przyczyniając się do rozweselenia całego dworu, nie cieszył się jednak karzeł wielką popularnością i wskutek tego nie mógł Tripetcie wielkich usług wyświadczyć. Ona jednak, mimo swego karlego wzrostu, budziła podziw z powodu swej gracyi i niezwykłej piękności, posiadała wskutek tego wielki wpływ i nie omijała żadnej sposobności, aby go wyzyskać na korzyść Żabinóżki.

Pewnego razu, podczas ważnej jakiejś akcyi państwowej — zapomniałem, o co wówczas chodziło — postanowił król urządzić maskaradę. Ilekroć na naszym dworze urządzano coś podobnego, z pewnością posługiwano się zdolnościami Tripetty i Żabinóżki. Szczególnie ten ostatni odznaczał się wielką pomysłowością w dobieraniu okazałych strojów, urządzaniu widowisk, sprawianiu kostyumów, słowem bez jego pomocy niepodobna było urządzić zabawy dworskiej.

Pod kierownictwem Tripetty ozdobiono wspaniałą salę we wszystko, co przydać mogło blasku maskaradzie. Cały dwór w naprężeniu czekał niespodzianek, jakich wszyscy się spodziewali. Wszystkim rozdzielono kostyumy i role. Przez cały miesiąc zastanawiano się nad rolami, jakie każdy ma objąć. Wszystko przewidziano aż do najdrobniejszych szczegółów. Niezdecydowani byli dotychczas jedynie król i ministrowie. Prawdopodobnie nie mogli się na nic zdecydować, wskutek swej nadzwyczajnej tuszy. Ponieważ zaś czas mijał, a termin zabawy się zbliżał, postanowili zwrócić się o pomoc do Trippetty i Żabinóżki.

Ulegając rozkazowi króla, udali się mali nasi przyjaciele do jego komnaty, gdzie właśnie król wraz ze swą radą gabinetową zapijał się winem. Król zdawał się być w najgorszym humorze. Wiedział, że Żabinóżka nie znosi wina, ponieważ napój ten biednego karzełka wprowadzał w rozdrażnienie, graniczące niemal z szaleństwem.

Król jednak chciał się ubawić zakłopotaniem karła i starał się go zmusić do picia wina, aby go, jak się wyraził, widzieć podochoconym.

„Zbliż się, Żabinóżka, rzekł, kiedy trefniś wraz ze swą przyjaciółką ukazali się w odrzwiach komnaty, „wychyl ten puhar na zdrowie twych nieobecnych przyjaciół (tu karzeł westchnął) a potem złóż dowody twej pomysłowości. Trzeba nam koniecznie masek — charakterystycznych masek, słyszysz? Coś nowego — niezwykłego. Sprzykrzyły się nam już te, bezustannie się powtarzające przebieraniny. Chodź, pij! Wino zaostrzy twój dowcip i wywoła żywszy bieg myśli“.

Karzeł starał się, jak zwykle, pokryć to żądanie króla żartem. Teraz jednak miarka się przebrała. Właśnie tego samego dnia były urodziny biednego karła, to też wspomnienie nieobecnych przyjaciół ciążyło mu na sercu i wyciskało łzy z oczu; kiedy pokornie wziął puhar z ręki tyrana, padła niejedna ciężka, gorzka kropla do środka.

„Ah, ha! ha! ha! — zaśmiał się król na całe gardło, kiedy karzeł ze wstrętem wlewał w gardło napój. „Zobaczcie, jaka moc w śklenicy dobrego wina! Już mu błyszczą oczy:“

Biedak! Z wielkich jego oczu poczęły sypać się promienie, gdyż wino natychmiast działało na wrażliwy jego umysł. Drgając postawił puchar na stół i nawpół nieprzytomny rozglądał się dookoła. Król bawił się wybornie swym żartem.

„No, a teraz do rzeczy“ — rzekł prezes ministrów, największy grubas.

„Tak“ — potwierdził król. — „Żabinóżka, poradź nam. Maski! mój kochany, masek nam potrzeba — nam wszystkim! — ha! ha! ha!“. — A ponieważ ten wstęp miał być żartem, więc wszyscy ministrowie poczęli głośno wtórować śmiechowi króla.

Karzeł śmiał się również, jednak cicho i jak gdyby nie wiedząc, o co właściwie chodzi.

„Chodź! chodź!“ — zawołał zniecierpliwiony król. — „Czy dowcip ci wysechł?“

„Staram się coś nowego wymyśleć“ — odpowiedział karzeł w roztrzepaniu, gdyż wino spowodowało zawrót głowy.

„Starasz się!“ — ryknął tyran z wściekłością. — „Co chcesz przez to powiedzieć? Ach, widzę, żeś nie przy humorze, musisz się napić więcej wina. Masz, pij!“ — I po tych słowach podał król karłowi puhar wina. Ciężko chwytając powietrze, spoglądał karzeł szeroko rozwartemi oczyma na swego prześladowcę.

„Pij! powiadam ci!“ — ryczał potwór, albo do licha...“

Karzeł wzdragał się. Twarz króla spąsowiała ze złości. Dworzanie śmiali się głupkowato. Tripetta blada jak marmur zbliżyła się do siedzenia króla i padając przed nim na kolana, prosiła o łaskę dla swego przyjaciela.

Widocznie zdumiony jej śmiałością, spoglądał tyran przez chwilę na nią w milczeniu. Nie wiedział, co czynić, lub powiedzieć, aby najlepszy dać wyraz swemu oburzeniu. Nareszcie odtrącił gwałtownie dziewczę i trysnął jej w twarz napojem, mieszczącym się w puharze.

Biedna karlica podniosła się z ziemi i nie odważywszy się nawet na westchnienie, zajęła swe dawne miejsce na rogu stołu.

Przez pół minuty panowało w komnacie takie milczenie, iż słyszećby można opadanie liścia, lub pióra. Nagle zabrzmiał wśród ciszy głuchy ale ostry zgrzyt.

„Dla—dla—czego hałasujesz? — obruszył się król z wściekłością na karła.

Temu jednak widocznie wróciła przytomność, bo spokojnie patrząc tyranowi w oczy, odrzekł:

„Ja? — Ja? Czyż odważyłbym się na to?“

„Głos pochodził z zewnątrz“, zauważył jeden z dworzan. — „Sądzę, że to papuga nad oknem ostrzyła sobie dziób o druty klatki“.

„W istocie“ — odpowiedział król, zupełnie zadowolony tem wytłumaczeniem. Mógłbym był jednak przysiąc, że to ten wisus tam zgrzytnął zębami.

Na to zaśmiał się karzeł głośno i pokazał szereg wielkich i białych zębów. Król zbyt lubował się w dowcipach, aby się obrazić, iż ktoś ośmielił się zaśmiać w jego obecności i po jego słowach. Karzeł zapewnił, iż gotów jest wypić tyle wina, ile się tylko od niego zażąda. Król uspokoił się zupełnie, a skoro Żabinóżka wychylił jeszcze jeden puhar wina, nie okazując przy tem najmniejszych wstrętów, zabrał się ochoczo do obmyślenia planu maskarady.

„Nie wiem, na podstawie jakiego skojarzenia wyobrażeń, — począł karzeł spokojnie, jak gdyby ani kropli wina nie wypił — „w chwili, kiedy Wasza Królewska Wysokość uderzyła dziewczę i oblała jej twarz winem i podczas, gdy na dworze papuga wydała ten osobliwy zgrzyt, przypomniałem sobie nagle cudowny żart maskaradowy. U nas w ojczyźnie należy do najulubieńszych i najpowszedniejszych, tu jednakowoż będzie nowością. Aby go doprowadzić do skutku, trzeba ośmiu osób i...“

„Oto jesteśmy!“ — zawołał król, wielce rozradowany dowodem swego sprytu. „Właśnie nam trzeba ośmiu — ja i moi ministrowie! Opowiedz! Na czem polega żart?“

„U nas nazywa się zabawa ta“ — odparł karzeł — „ósemka skutych orangutanów. Jeśli się rzecz należycie poprowadzi, zabawa będzie pyszna“.

„Ależ naturalnie, zabawa musi się udać“ — rzekł król.

„Największą nam uciechę sprawi strach, jaki wywołają na obecne damy zakapturzeni“.

„Wybornie!“ — ryknął król a wraz z nim chórem ministrowie.

„Ja postaram się o małpi strój“ — rzekł karzeł — „proszę to mnie zostawić. Podobieństwo będzie tak łudzące, że wszyscy będą przebranych uważali za rzeczywiste bestye; przestrach dorówna zdziwieniu“.

„Ależ to przepyszny pomysł!“ — zawołał król. „Żabinóżka, ja o tobie nie zapomnę“.

„Łańcuchy służą do powiększenia strachu. Obecni będą przekonani, że ta zgraja dzikich zwierząt pouciekała z klatek. Wasza Królewska Wysokość nie może sobie wyobrazić, co za wrażenie wywoła pojawienie się na maskaradzie ósemki skutych orangutanów. Większość towarzystwa będzie przekonaną, że to rzeczywiste małpy, a kiedy ponadto wpadniecie z dzikim rykiem w tłum wspaniale przyodzianych dam i panów, kontrast będzie nieporównany.

„Plan twój musi być przeprowadzony“, odparł król. Ponieważ pora była spóźnioną, więc wszyscy powstali, aby zabrać się do wykonania projektu Żabinóżki.

(Dokończenie nastąpi.)

Tłum. b—m.

Kazimierz Bielański.

LATO.

Słońca promieni jasna struga
Oblewa ziemię, niecąc żar —
Leniwie płynie wody smuga,
Wokoło wszystek umilkł gwar.

Przejasne wszędzie są niebiosy,
Omdlałość jakaś wisi w krąg,
Schyliły czoła pełne kłosy,
A woń upojna płynie z łąk.

Wokoło taka cisza senna...
Kroczę, znużoną chyląc skroń.
Kwiatów ku niebu mknie nowenna,
By z kadzielnicy cicha woń.

Świetlistej ciszy nic nie mąci,
Tylko po kwiatach kilka pszczół,
Zbierając miody, brzęcząc trąci
I zakołysze liściem ziół.

Upadam, mdlejąc ze znużenia.
Wlokę do lasu chwiejny krok,
By spocząć chwilę śród drzew cienia,
W jasne błękity topiąc wzrok.

I oto-m jest na skraju lasu;
Rzeźwiący mię osłania cień...
Śród miękich leżę traw atłasu —
Drzewa słonecznych pełne lśnień...

Rozkoszą, szczęściem bije serce,
W pobliżu słychać szepty fal,
Pachną zielonych traw kobierce —
I milknie w duszy wszelki żal.

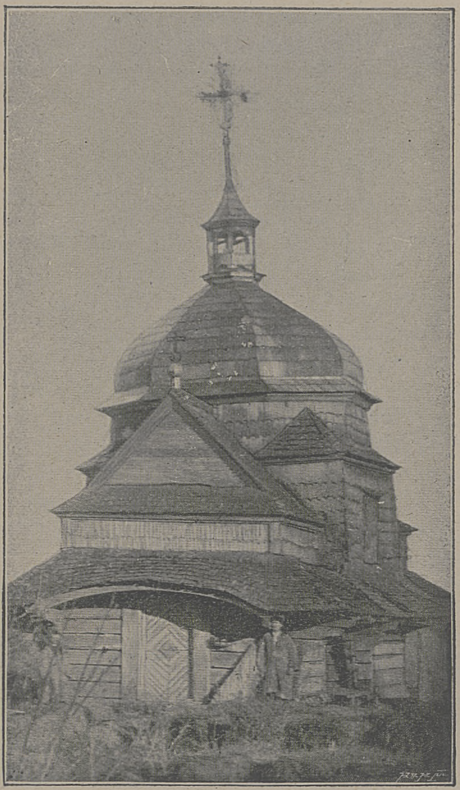
Zabytki dziejowe w Galicyi.

Otwierając dział niniejszy w *Tygodniku*, pragniemy zachęcić inteligencyę naszą na prowincyi do zwrócenia uwagi na tak liczne pamiątki i zabytki przeszłości, jakie na obszarze ziem naszych przetrwały do dni dzisiejszych, niestety jednak, coraz bardziej rozsypując się w gruzy.

Rozbudzić zamiłowanie ogółu do tych dokumentów życia i działalności naszych przodków, uważamy sobie za obowiązek publicystyczny. Toż prosimy niniejszem ludzi dobrej woli, ażeby zechcieli nadsyłać nam do reprodukcyi w *Tygodniku* zdjęcia fotograficzne, lub rysunki starożytnych świątyń, gmachów, zamków, ruin, pomników, grobowców, jak niemniej widoki starodawnych dworów wiejskich, dołączając zarazem krótki opis historyczny danego zabytku.

W numerze dzisiejszym zamieszczamy widoki dwóch pamiątek przeszłości z powiatu trembowelskiego, a zawdzięczamy je uprzejmości p. Jana Aleksandra Baygera, autora wybornej monografii tego powiatu, z której też czerpiemy szczegóły historyczne.

Cerkiew w Hleszczawie.



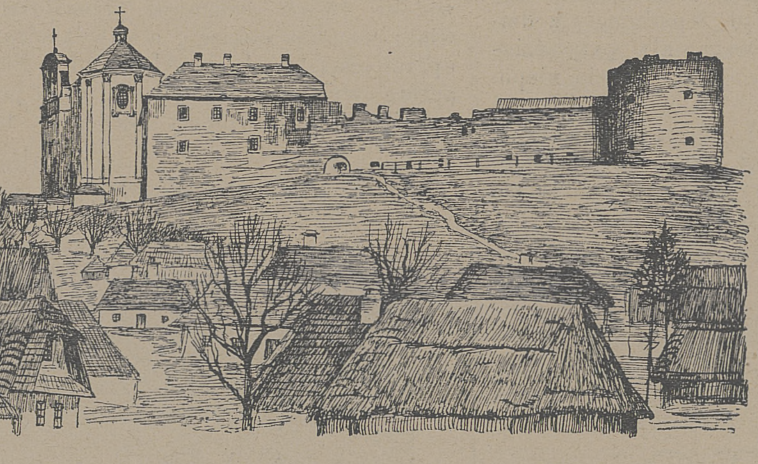
W Hleszczawie, wiosce nad rzeką Tarczą w powiecie trembowelskim, znajduje się jeszcze, chyląc się do upadku, cerkiew struktury wielce charakterystycznej. Powstała ona pod wezwaniem św. Mikołaja prawdopodobnie w początkach wieku XVII, obecnie zaś ma być rozebraną, albowiem w jej miejsce wzniesiono już cerkiew nową, murowaną, która jednak — jak prawie wszystkie nowe cerkwi, budowane szablonowo w niezgrabnie naśladowanym stylu bizantyńskim — nie wywiera żadnego wrażenia.

Stara cerkiew, zbudowana z drzewa, posiada jedną kopułę i znamienne dokoła ścian poddasze. Data erekcyi parafii hleszczawieckiej jest nieznaną. W archiwum cerkiewnem znajduje się dokument, wydany przez Jakóba na Kazimierzu Dulskiego, stolnika owruckiego, z daty: Ostalce 27. 9bris 1757. Anno. Mocą tego aktu na-

daje Dulski księdzu Filipowi Glińskiemu, parochowi hleszczawieckiemu, z dóbr swoich dziedzicznych, Hleszczawy, grunta „na dni Dwadzieścia y cztery, tudzież y Sianożęci na Kosiarzów Dwadzieścia y cztery, Pastwisko wolne na łąkach Hleszczawieckich, tudzież zajęcie stawku na Sianożęciach Bekierszczyzną nazwanych, przy którym plac na Pasieczysko z Podpasieczem zwyczaynym pozwalam, bez żadney Dziesięciny Pszczelney, tudzież z uwolnieniem od wszelkich Danin, jako to: Czynszów, Rogoszczyzny, Podatków tak Dworskich, jako y Gromadzkich *et quocunq Titulo* nazwanych Ciężarów uwalniam, tudzież Sycenia miodu, kórzenia wódki, warzenia Piwa, wyżpomienionemu Xiędzu Filipowi Glińskiemu pozwalam“.

Po latach 150-ciu tylko jeszcze stara księga starej cerkiewki wspomina o hojnych stolnikach i dobrze uposażonych kapłanach...

Zamek i kościół w Budzanowie.



W uroczem położeniu nad Seretem, który szerokim skrętem obmywa stopy przepaścistej ścianki, miły dla oka widok przedstawia miasteczko Budzanów, wyjątkowo schludne i czyste. Ozdobą miasta jest wznoszący się na górze stary zamek, którego część frontową przerobiono na kościół i klasztor Sióstr Miłosierdzia.

Zbudowany on z czerwonego i szarego kamienia w czworobok, z takimże dziedzińcem wewnątrz i z czterema wielobocznemi basztami, na dwa piętra wysokiemi, z których dwie przerobiono na kościół parafialny. Do tego celu użytą została baszta południowo-zachodnia przy wielkim ołtarzu i północno-zachodnia przy wchodzie. Trzecią basztę, niestety, zburzono w r. 1893, włączając ją do klasztoru, który zajmuje północne i wschodnie skrzydło zamku. Tylko czwarta baszta, od strony miasta, zatrzymała wszystkie cechy starożytne. Skrzydło południowe zamku stoi dotąd w ruinach i łatwo dałoby się odrestaurować. Bramy posiada zamek dwie, sklepione: od północy i południa, ze śladami mostów zwodzonych. Napisów, lub tablic, niema żadnych.

Wprawdzie *Liber memorabilium* kościoła budzanowskiego twierdzi, że w tem mieście istniał zamek już przed rokiem 1575, jednak obecne ruiny pochodzą z zamku, wzniesionego dopiero w początkach XVIII. wieku, prawdopodobnie przez Jana i Marcina Chodorowskich. Był później w posiadaniu Aleksandra Siemińskiego, a następnie przeszedł do Lewoczyńskich. Ci zamek i dobra puścili w dzierżawę i wtedy warownia uległa znacznemu spustoszeniu skutkiem zaniedbania. Odrestaurował go dopiero następny właściciel, Tomasz Łużecki, który tutaj dzielnie, choć bezskutecznie bronił się przeciw Turkom w r. 1672. Zdobyty w tym roku, a spalony ponownie w r. 1675, zaniedbany przez późniejszych właścicieli, zmienił się zamek w ruinę.

Brb.

„SYBIR“

wystawa obrazów Aleksandra Sochaczewskiego we Lwowie.

Saison morte! Doprawdy, nawet reklama w tym sezonie wygląda blado i jakoś bez znaczenia. Rozlepione afisze darmo nawołują — ludzie przechodzą — spojrzą — pomyślą: „eh, co mi tam“ — i idą dalej. „Bo i cóż może być o tym czasie dobrego we Lwowie?“ rozumuje w dalszym toku ten i ów. Ale znowu raz po razie rzuca mu się w oczy ten sam afisz — potem na rogu Kopernika i placu Maryackiego ogromny napis na ścianie domu, potem na placu Akademickim biało-czerwona chorągiew. „Coś to przecie musi być — ten „Sybir“ — trzeba widzieć!

I wchodzi.

Zaraz na wstępie uderza go wielkich rozmiarów obraz — oznaczony liczbą I. Więc zagląda do katalogu, jaki mu usłużnie podsunął pan kasyer i czyta: „Na granicy Sybiru“ i t. d. Nakoniec uzbrojony dostatecznie objaśnieniami, poczyna się przyglądać. — I oto niejednemu łza w oku zaświeci, niejeden głębokiem westchnieniem żegna ten obraz — idzie inne oglądać — ale znowu wraca, patrzy....

Wielka równina, bez przerwy aż do skłonu nieba, śniegiem sinym pokryta; tu i ówdzie w dali za mgłą niewyraźne postaci — nito drzew grupy — nito wojsk szeregi — nieruchome zamarłe; na przodzie obelisk — słup graniczny między Europą a Azyą — symbol wiecznego pożegnania. „Lasciate ogni speranza“. Porzućcie wszelką nadzieję! Oto napis, jaki bez liter widnieje u wrót tego mroźnego piekła. — Tu zesłańcom na Sybir spoczynku chwilę dawano — dotąd, a nie dalej mieli nadzieję ułaskawienia; kto przeszedł próg Azyi, ten nigdy już nie miał do swoich powrócić. Dlatego to w tym miejscu oficer dowodzący konwojem zwracał się do wiedzionych z wezwaniem: „Pożegnajcie się!“ I te szeregi nędzarzy, obce sobie całem życiem, a zjednoczone wspólnym losem, ze wszech stron pospędzane — pospolici zbrodniarze z politycznymi pomięszani, kupiły się grupami ku sobie. Nie patrzą już za siebie, by na nowo nie trawić się rozpaczą, by nie rozdzierać bardziej niezaschłych jeszcze boleści!

Postaci i twarze robione są portretowo. Są to postaci towarzyszy malarza. Katalog podaje wyjaśnienia i nazwiska osób, na obrazie przedstawionych. Już z tego można odgadnąć, że Aleksander Sochaczewski nie chciał tu dać wyłącznie artystycznej kompozycyi — ale raczej utrwalić — onę niezatartą w jego pamięci chwilę, kiedy z towarzyszami niedoli na zawsze — na zawsze żegnał się nawet z myślą o powrocie. Nie ujrzysz więc na tym obrazie żadnej prawie akcyi, żadnego sztucznego i umyślnego ugrupowania. Kilka postaci bezwładnie skulonych — inne z wyrazem zaciekawienia przyglądają się słupowi — jeden pisze na obelisku — inny z wściekłością zaciska pięści, któremi dosięgnąć nie może pastwiącego się nad nim żołdaka. Grupy są odosobnione, jakby do siebie nie należały, jakby osobno fotografowane, a potem w kompozycyę złożone. I na tem właśnie cierpi kompozycya. Artysta zanadto wiele wagi dawał na prawdę portretową, na podobieństwo — zamało zaś na kompozycyę. Dlatego to widz z trudnością się oryentuje. Dlatego nie może zbliska objąć całości, a zdaleka nie dostrzega szczegółów. Zadaniem kompozytora jest ułożyć materyał obrazu tak, aby dusza widza już w samym obrazie miała przewodnika, aby oko jego z pewną psychiczną koniecznością przesuwało się w tym, a nie innym porządku po częściach obrazu, aby te części nie wpadały w oko bez ładu i nie dawały mu błąkać się po obrazie. Pewien punkt obrazu — zwłaszcza jeżeli to jest płótno rozmiarów wielkich — musi skupiać na sobie pierwszy zapęd uwagi — dalsze grupy mają tylko potęgować i zbogacać wrażenie wstępne. Pod tym względem obraz „Na granicy Sybiru“ jest niejako klasycznym przykładem tego, jak kompozycya wypaść nie powinna. Rozkawałkowanie, wyodrębnienie grup zrywa związek całości — wrażenie, odniesione na jednym punkcie płótna, zaciera wrażenie dopiero przed chwilą odniesione — i efekt zamiast potęgować się — słabnie.

Inne obrazy, mniejszych rozmiarów, także kompozycyjne mają niepospolitą wartość. „Pani Gudzińska“ pierze worki i chucha na zmarzłe ręce; zuchwały Czerkies przypada do niej, z wściekłością napędzając ją do roboty. Jest to jedna z tych brutalnych scen, które nasze kobiety-ofiary znosiły z anielską iście łagodnością.

Być może, zbyt sentymentalnie wypadł boleśny wzrok p. Gudzińskiej — widocznie artysta nie dorósł do bardzo trudnego zadania skojarzenia w spojrzeniu wyrazu boleści z wyrazem łagodnie anielskiej prośby.

Na obrazie „Wieczór“ przedstawił Sochaczewski samego siebie w chwili, kiedy mu wieczorem po pracy nanowo zakładają kajdany. Postać malarza wątła, cierpiąca, twarz wąska, drobna, prawie dziecięca; — niewiem, czy jest wiernie oddana, ale odgaduję, że taki musi być wyraz nieszczęsnego chłopca, co tam na krańcu świata kopie rudę dla — cara, a potem sam podnosi nogę, by mu ją zakuć w łańcuchy.

Ściśle dramatyczny nastrój mają dwa ostatnie obrazy ze seryi, nazwanej „Odpoczynek zbiegłych“ — i „Śmierć“. Rodzina zbiegła tuli się do jakiegoś rozpadającego zabudowania, — które wśród bezmiernej śnieżnej równiny słabą daje przed wichrem zasłonę: ojciec ponury, matka śmiertelnie zmęczona, bezgranicznie smutna — i dziecko w powijakach na jej łonie!

Śnieg prószy. W powietrzu gwałtowne wzburzenie; tu czujesz, jak wszystko drży we wietrze, jak świszcze złowrogo i śmierć niesie.

Już ich dosięgła. Już matka dobiegła do celu. W śniegowej mogile — z krzyżem w skostniałych dłoniach, złożonym

z kawałków podróżnego kija — spoczywa cicha — na wieki. Ojciec z osłupiałym wzrokiem ucieka dalej — unosi jedyny skarb: dziecię... a śmierć pójdzie w ślad za nim.

I ta głusza mroźnej pustyni, i te smugi śniegu, niesionego zawieruchą, i ten niepokój w przestworzu, i ta przygarbiona postać ojca, co rozpaczliwie szuka ratunku — nie dla siebie, lecz dla owego, nierozwiniętego jeszcze życia u jego ramion: wszystko to dyszy grozą, jaką przy nieocenionej prostocie kompozycyi, tylko niepospolity talent w dobrych swych chwilach stworzyć potrafi. I ten niezwykły koloryt — ta szarość zawiei śnieżnej — potęguje jeszcze to wrażenie ostatniego aktu, wstrząsającego dramatu.

Ze smutkiem przesuwa się teraz oko po kilkudziesięciu drobniejszych płótnach. Szkice przygotowawcze, próby do kompozycyi — niby notatki malarskie — opowiadają wiele — a wszędzie smutek, a wszędzie cierpienie.

A to mają do siebie, że z prostotą, a prawdą odtwarzają szczegóły pracy w katorgach. Koloryt może zbyt jest monotonny, może cielistość twarzy słabo uchwycona, może miejscami postaci za mało mają ruchu i żywości.

Niektóre z nich ledwo zaczęte, zakreślone, inne niepospolitą mają wartość nietylko informacyjną, lub ćwiczeniową — ale artystyczną.

Całość wystawy pełna powagi — surowości: płótna to nie dla zabawy, lecz dla rozmyślania.

Wiadomości bieżące.

× **Pożar Jasnej Góry.** Jak grom z jasnego nieba, spadła onegdaj przerażająca wiadomość o pożarze kościoła N. Maryi Panny Częstochowskiej.

Dnia 15. b. m. około godz. pół do 11-ej rozległ się w Częstochowie złowrogi okrzyk: „Gore! Jasna Góra w płomieniach!“ Trzydziestokilkotysięczny tłum pielgrzymów, obozujący u stóp świętego miejsca i całe miasto rzuciło się ku objętej płomieniami wieżycy. Przerażenie i rozpacz nie odjęły, ale dodały siły. Najbliższa ognia gromada Kaliszan rzuciła się z zaciekłością na ratunek, albowiem właśnie z rakiety, puszczonej przez kompanię kaliską, wszczął się pożar. Ale ratunek był niemożliwy. Nie stracono jednak przytomności.

Przedewszystkiem trzeba było zapobiedz nieszczęśliwym wypadkom, bo tłum pchał się i tłoczył, jak lawina. Na murach ukazali się zakonnicy z przeorem, ojcem Rejmanem na czele. Zorganizowano kordon i straż bezpieczeństwa. Trwało to chwilę. Tymczasem płomienie ogarnęły cały szczyt wieży. Ale na dachach innych budowli siedziało już kilkudziesięciu obrońców i zdawało się na razie, że pożar sam przez się maleje.

Nadbiegła straż i rozpoczął się ratunek prawidłowy, lecz nieskuteczny. Strumienie zwykłych sikawek nie sięgały wyżyn objętych płomieniem, trzeba było poprzestać na ratowaniu miejsc zagrożonych, a nie objętych jeszcze ogniem. Wysłano depeszę po pomoc do Piotrkowa, Warszawy i Łodzi. Piotrków odpowiedział natychmiast.

Tymczasem jednak zachodni złom wieży zarysował się i runął. Krzyk przerażenia rozdarł powietrze. Lecz niebezpieczeństwo szerzenia się ognia malało. Jakoż wkrótce opanowano pożar siłami miejscowemi. Przybyła z Piotrkowa straż ogniowa dopomogła szczęśliwie do zdławienia strasznego żywiołu.

Wieża główna spalona. Dachy na kaplicy św. Pawła i kruchcie kościoła spaliły się. Byłe pokoje królewskie zniszczone. Kościół i kaplica z cudownym obrazem ocalały. Straty wielkie. Pożar ugaszono dopiero około godz. 10. zrana.

Przy ratunku zostało zabitych 2 strażaków, jeden z XX. Paulinów, 14 osób nadto poniosło mniejsze, lub większe obrażenia, między niemi 4 osoby uległy tak znacznym obrażeniom, iż zachodzi obawa o ich życie.

× **Uniwersytet berliński** obchodzi w r. bieżącym setną rocznicę swego powstania. Nadreński organ centrum katolickiego, *Koeln. Volksztg.*, ogłasza z tego powodu zajmujący dokument, a mianowicie list króla Fryderyka III. do ministrów Altenstein'a, Dohna i kanclerza Beyme'a. „Tajny radca Humboldt — pisze król — przedstawił mi wasz wniosek, dotyczący założenia wyższego zakładu naukowego w Berlinie. Uważam go za tak ważny dla rozwoju duchowego w państwie i zagranicą, i dla wyrobienia pierwszorzędnych uczonych w każdym zawodzie, że zgadzam się na założenie takiego zakładu w Berlinie, pod starodawną nazwą uniwersytetu“.

W dalszym ciągu tego listu, król przekazuje temu zakładowi dochód roczny z domen królewskich w wysokości 150,000 talarów. „Za to — pisze — mają być przy danej sposobności sekularyzowane dobra Kościoła katolickiego na Śląsku i w Prusach Zachodnich w równej wysokości“. Oprócz tego wyznaczył król na utrzymanie uniwersytetu 7,000 talarów rocznie z dawnego funduszu jezuickiego na Śląsku. Obawiając się wrażenia, jakieby zrobiło w świecie katolickim przekazanie funduszów kościelnych na założenie uniwersytetu protestanckiego, król pisze dalej: „Ponieważ nie wszystkie powyższe postanowienia nadają się do ogłoszenia, a zwłaszcza dotyczące przekazania dochodów, przeto należy opublikować tylko te szczegóły, któreby posłużyły za dowód, że zajmuję się sprawami administracyi wewnętrznej dla dobra państwa, nauki i sztuki“.

Przy tej sposobności wspomniemy, że nietylko uniwersytet berliński utrzymywany jest z funduszów kościelnych. Majątek zabrany przez rząd pruski przy sekularyzacyi dóbr kościelnych, wynosił okrągły miliard marek i przynosi 30 milionów rocznego procentu. Z sumy tej zakłady katolickie pobierają tylko 2,352,716 marek, a reszta, przeszło 27 milionów, jest obracana na cele protestanckie i polityczne bez należytej kontroli publicznej.

× **Studenci polscy w Paryżu.** Z okazyi wystawy paryskiej odbył się tamże w tych dniach kongres studentów z wszystkich krajów Europy, a nawet z Ameryki. Tylko niemieccy studenci nie przybyli, mimo zaproszenia. Ogółem na kongres stawiło się 1500 studentów zagranicznych, a stosunkowo najliczniej wystąpili studenci polscy (głównie politechnicy lwowscy).

Na czele delegacyi oczekiwał ich na dworcu w Paryżu Reveilland, prezes Towarz. studentów paryskich. Prócz studentów paryskich na dworcu obecni byli delegaci „Koła“ (Stowarzyszenie uczącej się młodzieży w Paryżu) p. Śliwicki i Strzębosz.

Gdy pociąg zajechał, przywitano drużynę polską okrzykami „Vive la Pologne“. Polacy odpowiedzieli „Vive la France“. O godz. 2. w południe studenci lwowscy, których było przeszło 80, udali się do gmachu Towarz. studenckiego, gdzie powitał ich p. Reveilland. Nastąpiło zwiedzanie gmachu. W czasie przyjęcia, które było nader serdeczne, śpiewał chór polski. 4 bm. o godz. $7^1/_2$ wieczór odbył się bankiet wspólny.

P. Reveilland w przemowie swej do Polaków wyraził radość studentów paryskich, że mogą przyjąć studentów polskich, tembardziej, że młodzież polska po raz pierwszy bierze udział oficyalny. Dotychczas w żadnym kongresie studenci polscy takiego udziału nie brali.

W niedzielę 5. bm. odbyło się otwarcie kongresu międzynarodowego, a wieczorem przed stawienie galowe w teatrze Sary Bernhardt. Grano sztukę Rostanda „Orlę“.

Przez cały tydzień odbywały się zabawy i przedstawienia dla gości, przyjęcie u prezydenta i nocne zabawy na wystawie etc.

× **Zjazd członków gal. Towarzystwa lasowego** odbywał się 13. i 14. bm. w Stryju. Towarzystwo, mimo usiłowań kilku jednostek, nie znajduje należytego w kraju poparcia. Na Zjazd przybyło niespełna 40 osób, a z prezydyum nie zjawił się nikt! Obecnie wybrano prezesem rzeczywistym hr. Andrzeja Potockiego, a honorowym dr. Henryka Strzeleckiego. Nad odczytem p. Kaz. Gołębskiego o potrzebie oddziaływania Towarzystwa na gospodarkę w lasach prywatnych, wywiązała się bardzo ożywiona dyskusya, w której wykazywano trudności takiego zadania, zwłaszcza, skoro nawet Sejm ignoruje Towarzystwo lasowe. We wtorek urządzono wycieczkę do Krechowiec w lasy kameralne, a zwiedzano także gospodarstwo sadownicze br. Juliana Brunickiego w Podhorcach.

× **Jazda rozstawna cyklistów sokolich** na przestrzeni Kraków-Lwów odbyła się ubiegłej niedzieli, celem przewiezienia depeszy prezesa Sokołów krakowskich do prezesa Związku. Depesza została oddaną pierwszemu kuryerowi o 2-giej rano, a przybyła do Lwowa o godz. 5. wieczorem.

Świetny wynik jazdy, pomimo napotykanych w drodze trudności, — dobrze świadczy o sokolich kolarzach.

TYDZIEŃ EKONOMICZNY.

Żniwa na Węgrzech. Urzędowe sprawozdania z połowy bm. donoszą, że deszcze w dniach ostatnich korzystnie oddziałały na winnice.

Młócenie zboża już się rozpoczęło. Pod względem ilościowym oraz jakościowym tegoroczne zboże jest nieco słabsze, niż w roku zeszłym. Pszenica przeciętnie prawie średnia, inne gatunki zboża przeciętnie słabo średnie. Kukurudza i buraki cukrowe poprawiły się. To samo da się powiedzieć także o winnicach. Zbiór owoców zapowiada się słabo średnio.

Cukrownia na Bukowinie niebawem założoną zostanie przez galic. akc. Towarz. przemysłu cukrowniczego w Przeworsku.

Budowa tej fabryki cukru będzie rozpoczętą w najbliższym czasie na gruncie położonym blisko stacyi kolejowej Żuczka, ofiarowanym przez buk. gr. or. fundusz religijny. Pierwsza kampania buraków odbędzie się w jesieni najbliższego roku.

Do przedsiębiorstwa przyczyniają się: kraj Bukowina przez nową emisyą akcyj Tow. w wysokości 100.000 koron i buk. gr. or. fundusz religijny przez przyjęcie akcyj w wysokości 350.000 koron, udzielenie hipotekarnie pokrytej pożyczki w równej wysokości i odstąpienie sposobem daru wyżej wspomnianego gruntu, którego powierzchnia wynosi 40 morgów.

Rok administracyjny działu ogniowego XXXVIII. Rok administracyjny działu gradowego XXXV.

Zamknięcie rachunków
TOWARZYSTWA WZAJEMNYCH UBEZPIECZEŃ W KRAKOWIE

(Działu ogniowego i gradowego) za czas od 1. kwietnia 1899 r. do 31. marca 1900 roku.

Rachunek Zysków i Strat z działu ogniowego i gradowego za czas od 1. kwietnia 1899 r. do 31. marca 1900.

	ROZCHÓD	Dział ogniowy i gradowy Kor.	h.	Kor.	h.	Razem Kor.	h.	Przypada na dział ogniowy Kor.	h.	gradowy Kor.	h.
I.	Szkody i koszta likwid. wypłacone:										
	1. W dziale ogniowym . . .	4,761.734	50								
	mniej zwrot od Tow. kontrasekur.	1,461.178	98	3,300.555	52						
	2. W dziale gradowym . . .	676.742	06								
	mniej zwrot od Tow. kontras. .	326.598	74	350.143	32	3,650.698	84	3,300.555	52	350·143	32
II.	Koszta administracyi:										
	1. Koszta organizacyjne . . .										
	2. Prowiz. agent. (mniej prowiz. kontrasekur.) z dział ogn. . . .			233.934	74						
	Prowiz. agent. (mniej prowiz. kontrasekur.) z działu grad. . .			21.959	23	255.893	97	233.934	74	21.959	23
	3. Wydatki administracyjne bieżące .					1,556.604	75	1,511.771	27	44.833	48
III.	Odpisy i inne wydatki . . .					167.197	88	156.852	89	10.344	99
IV.	Fundusz na szkody nieuregulowane: (mniej udział kontrasekur.) .					529 857	49	529.857	49		
V.	Stan fund. z końcem r. 1899/1900 (z wyjątkiem fund. emer.)										
	1. Rez. zaliczki na dalsze lata w dz. og.			3,288.988	08						
	mniej kontrasekuracya . .			868.882	55	2,420.105	53	2,420.105	53		
	2. Fund. rezerw. a) w dziale ogn. .			5,761.635	41						
	b) „ grad. .			1,990.398	03	7,752.033	44	5,761.635	41	1,990.398	03
	3. Fund. na różnicę kursu w dz. ogn.										
	4. Fundusz wyrównawczy . . .					433.056	—	433.056	—		
VI.	Czysta pozostałość					861.988	92	758.174	14	103 814	78
						17,627.436	82	15,105.942	99	2,521 493	83

	PRZYCHÓD.	Dział ogniowy i gradowy Kor.	h	Kor.	h.	Razem Kor.	h.	Przypada na dział ogniowy Kor.	h.	gradowy Kor.	h
	Fundusze przeniesione z r. 1898/9:										
I.	1. Rezerwa zaliczki			2,889.492	32						
	mniej kontrasekuracya . .			826.839	20	2,062.653	12	2,062.653	12		
	2. Fund. rezer. działu ogniow. z dn. 1. kwietnia 1899. . . .			5,659.147	66						
	Fund. rezer. działu gradow. z dn. 1. kwietnia 1899 . . .			1,921.673	96	7,580.821	62	5,659.147	66	1,921.673	96
	3. Fund. rezer. działu ogn. przyrost w roku bieżącym . . .			102.487	75						
	Fund. rezer. działu grad. przyrost w roku bieżącym . . .			68.724	07	171.211	82	102.487	75	68.724	07
	4. Fundusz na różnicę kursu działu ogniowego					60.404	64	60.404	64		
	5. a) Fundusz asekur. działu ogniowego przenies. z r. 98 . .			105 187	76						
	b) Fundusz na zwroty . .			133.211	04						
	c) Procenta funduszu rezerwowego . } w r. 1899/900			167.549	18						
	d) Dochód z nieruchomości netto . } w r. 1899/900			27.108	02	433.056	—	433.056	—		
II.	Fundusz na szkody nieuregulowane przeniesony z r. 1898/9: .					476.266	16	476.266	16		
III.	Zaliczka zebrana:										
	1. W dziale ogniowym . . .	8,222 470	20								
	mniej kontrasekuracya . .	2,172.206	38	6,050.263	82						
	2. W dziale gradowym . . .	965.341	83								
	mniej kontrasekuracya . .	474.457	67	490.884	16	6,541.147	98	6 050.263	82	490.884	16
IV.	Dochód z lokacyi kapitału . .					61.752	62	55.409	80	6.342	82
V.	Inne dochody					240.122	86	206.254	04	33.868	82
						17,627.436	82	15,105 942	99	2,521.493	83

Rachunek bilansu z działu ogniowego i życiowego z dniem 31. marca 1900 roku.

	Stan czynny.	Dział ogniowy i grad. K.	h.	Razem K.	h	Przypada na dział ogniowy K.	h.	gradowy K.	h.
I.	Niewypłacony kapitał akcyjny			—	—	—	—		
II.	Zapas gotówki z dniem 31. marca 1900 . .			335.441	59	335.441	59		
III.	W Bankach i zakładach na rachunku bież. .			1 582.487	47	1,564.518	58	17.968	89
IV.	Wartość nieruchomości			2,087.500	—	2,087.500	—		
V.	Papiery wart. po kursie z d. 31. marca 1900								
	1. W dziale ogniowym								
	a) Własność funduszu rezerwowego . . .			3,013 956	43	3,013.956	43		
	b) „ „ emerytalnego . . .			1,153,223	82	1,153.223	82		
	2. W dziale gradowym			1,283.540	52			1,283 540	52
VI.	Weksle stron ubezpieczonych			199.188	35	147.917	27	51.271	08
VII.	Pożyczki hipoteczne								
VIII.	Pożyczki na zastaw papierów wartościowych								
IX.	Efekta funduszów:								
	1. Funduszu zapomogow. dla wdów po urzędn. .	92.705	20						
	2. „ śp. Pawła Przedpełskiego . .	18.655	40						
	3. „ Białego Krzyża	25.420	—						
	4. Efekta kaucyjne agentów	441 478	03	578.258	63	578 258	63		

	Stan bierny.	Dział ogniowy i grad. K.	h.	Razem K.	h.	Przypada na dział ogniowy K.	h.	gradowy K.	h.
I.	Emitowany kapitał akcyjny								
II.	Fundusz rezerwowy:								
	a) W dziale ogniowym	5,761.635	41						
	b) „ gradowym	1,990.398	03	7,752.033	44	5,761.635	41	1,990.398	03
III.	Fundusz na różnicę kursu w dziale ogniow. .								
IV.	Rezerwa zaliczki } po potrąceniu kontrasekur.			2,420 105	53	2,420.105	53		
V.	Fund. na szkody nieuregulowane } po potrąceniu kontrasekur.			529.857	49	529.857	49		
VI.	„ wyrównawczy			433.056	—	433 056	–		
VII.	„ emerytalny			1,339.009	20	1,339.009	20		
VIII.	Różni wierzyciele			384.870	51	247·265	48	137.605	03
IX.	Fundusze:								
	a) Fundusz zapom. dla wdów po urzędnikach .	117.736	25						
	b) „ śp. Pawła Przedpełskiego . .	22 886	40						
	c) „ Białego Krzyża	40.000	—						
	d) „ dla straży ogniowych . . .	11.628	43						
	e) „ dyspozycyjny Rady Nadzorczej .	3.240	—						
	f) „ na niepodniesione zwroty . .	164.024	28						

X.	**Towarzystwa kontrasekuracyjne** . . .	705.166 86	705 166 86	
XI.	**Zaległości po Agenc. i Reprez.:** Saldo czynne .	1,432.939 96	1,432.939 96	
XII.	**Różni dłużnicy**	1,865 554 02	1,688.827 35	176.726 67
XIII.	**Wartość inwentarza po odpisaniu zużycia** .	64.924 30	64.924 30	
XIV.	**Niepokryty niedobór z lat dawn. w dz. grad.**	702.310 68		702.310 68
		15,004.492 63	12,772.674 79	2,231.817 84

Rozdział pozostałości			
a) w dziale ogniowym:			
Pozostałość z roku 1899/900			758.174 14
Z tego przeznacza się na:			
1. Fundusz na remuneracye	65.342 67	76.354 61	
2. Dotacye funduszu zapomogowego dla wdów .	11.011 94		
3. 13% zwrotu dla członków	898.867 72		
mniej dopełnienie z funduszu wyrównawczego	217.048 19	681.819 53	
		758.174 14	758.174 14
b) w dziale gradowym:			
Pozostałość z roku 1899/900		— —	103.814 78
użytą została w myśl § 10 ust. 2 stat. na częściowe pokrycie pożyczki z fund. rezerw. gradow.		103.814 78	103 814 78

	g) Kaucye agentów	441 478 03			
	h) Fundusz oszczędnościowy w Rückvers.-Verein	154 362 65	955 356 04		
X.	**Towarzystwa kontrasekuracyjne** . . .		11.008 10	11.008 10	
XI.	**Pożyczka hipoteczna na dobrach Krukienice** .		317.207 40	317.207 40	
XII.	**Czysta pozostałość**		861.988 92	758 174 14	103 814 78
			15,004.492 63	12,772.674 79	2,231 817 84

Kraków, d. 31 marca 1900.

DYREKCYA:

Zenon Słonecki. **Ignacy Głażewski.** **Dr. Gustaw Romer.**

Wiktor Gablenz. Naczelnik Centralnego biura rachunkowego.

KOMISYA KONTROLUJĄCA:

Mieczysław Urbański. **Michał Garapich.** **Klemens hr. Dzieduszycki.**

Andrzej hr. Potocki. **Włodzimierz Gniewosz.**

XXX. Zamknięcie rachunkowe
TOWARZYSTWA WZAJEMNYCH UBEZPIECZEŃ W KRAKOWIE

za czas od 1 stycznia do dnia 31 grudnia 1899 (**Dział życiowy**).

Rachunek zysków i strat działu ubezpieczeń na życie.

	ROZCHÓD.	Korony	hal.
I.	Wypłaty płatnych zabezpieczeń i rent	1,871.950	68
II.	Wypłaty za zakupione police	291.521	91
III.	Dywidenda ubezpieczonym wypłacona	42 774	54
IV.	Wydatki z rządu	589.869	98
V.	Odpisy i inne wydatki	182.403	98
VI	Rezerwa na bieżące wypłaty szkód	138·044	85
VII.	Stan funduszów z końcem roku rachunkowego	19,528 214	56
VIII.	Zysk	125.654	78
		22.770 435	28

	PRZYCHÓD.	Korony	hal.
I.	Przeniesienie funduszów z roku poprzedniego	19,070.665	60
II.	Rezerwa na wypłatę nieuregulowanych szkód z roku poprzedniego .	184 628	12
III	Zebrane premie	2,510.531	74
IV.	Przychód z lokacyi kapitałów	945.236	35
V	Inne przychody	59.373	47
	Podział zysku:		
	1. Do funduszu rezerwowego . . . 25.130·95		
	2. „ rezerwy zysków . . . 35 840·25		
	3. „ fund. na amortyzacyę nieruchomości 656·87		
	4. „ dywidenty „A.“ . . . 38.540·59		
	5. „ „ „W.“ . . . 9.579·42		
	6. „ „ „B.“ . . . 12 405 40		
	7. „ funduszu specyalnego . . . 3 501·30 Kor. 125 654.78	22,770 435	28

Rachunek bilansu działu ubezpieczeń na życie.

	Stan czynny.	Korony	hal.
I.	Zapas kasowy	8.963	54
II.	Rozporządzalne należytości w instytucyach kredyt. i kasach oszczędności	186.685	86
III.	Realności i dobra ziemskie	1,369.042	40
IV.	Papiery wartościowe według kursu z dnia $31/_{12}$ 1899 . . .	5,593,437	66
V.	Weksle w portfelu	216.136	36
VI.	Pożyczki hipoteczne, na police, poż. Stowarzyszeniom i na zastaw pensyj	12,546.744	12
VII.	Zaległości we filiach, agenturach i Towarzystwach kontrasekuracyjnych .	359.096	33
VIII.	Różni dłużnicy	254 755	11
IX.	Efekta agencyjne	25 605	20
		20,560.466	58

	Stan bierny.	Korony	hal.
I.	Rezerwa zysków, kapitałów	1,205.053	62
II.	Fundusz na różnicę kursu	57.691	21
III.	Rezerwa i przeniesienie premii	18,218.612	11
IV.	Rezerwa na nieuregulowane szkody	138 044	85
V.	Fundusz na dywidendę dla ubezpieczonych	46 857	62
VI.	Salda bierne Tow. kontrasekur., różni kredytorowie i różne kaucye .	764.472	39
VII.	Fundusz emerytalny akwizytorów	4.080	—
VIII.	Zysk	125.654	78
		20,560.466	58

Kraków, dnia 1. Stycznia 1900. r.

Dyrekcya Towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń w Krakowie.

Zenon Słonecki. **Ignacy Głażewski.** **Dr. Gustaw Romer.**

Naczelnik działu ubezpieczeń na życie: **E. Szancer,** rządowo autor. technik asekuracyjny.

Szef biura rachunkowego: **A. Szyszkiewicz.**

W dowód zgodności z księgami:

CZŁONKOWIE RADY NADZORCZEJ:

A. hr. Wodzicki. **K. Dr. Lipowski.** **J. Bielański.**

T. Cieński.

Właściciel i wydawca: **K. Kołakowski.** Odpowiedzialny redaktor: **Wład. Strzelecki.**
Z drukarni „Dziennika Polskiego“ (Dra Felixa Woynarowskiego) pod zarządem Franciszka Kattnera, ul. Cicha l. 5.